

80
2

LIBRARY

UNIVERSITY

OF

CHICAGO

7

1877

p. 239/240 josta us
235/236.

Def.: tüksta p. 241/242.

2008-04-16 B-

25m.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

PISMO

OBEJMUJĄCE:

ważniejsze wypadki społeczne, życiorysy znakomitych ludzi, zabytki i pamiątki krajowe,

PODRÓŻE, POWIEŚCI I POEZYE,

SPRAWOZDANIA Z DZIEDZINY SZTUK PIĘKNYCH, PIŚMIENNICTWA, NAUK PRZYRODZONYCH, ROLNICTWA,
PRZEMYSŁU I WYNAŁAZKÓW,

SZKICE OBYCZAJOWE I HUMORYSTYCZNE, TYPY LUDOWE, UBIORY I KOSTIUMY, ARCHEOLOGIA

i t. d. i t. d. i t. d.

TOM XV.

Od N^{ru} 380 do N^{ru} 405.



WARSZAWA.

Nakładem i drukiem Józefa Ungra.

1867.

39074

Za pozwoleniem cenzury rządowej.

Warszawa dnia 14 (26) czerwca 1867 roku.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH

W TOMIE XV

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

od 1 stycznia do 30 czerwca 1867 r.

Życiorysy ułożone są alfabetycznie, inne przedmioty porządkiem paginacji.

Ilość rysunków.	Stronica.	Ilość rysunków.	Stronica.	Ilość rysunków.	Stronica.
I. ŻYCIORYSY.		V. POWIEŚCI I OPOWIADANIA LUDOWE.		X. RZECZY BIEŻĄCE.	
1. Boduszyński Wojciech, przez Kierskiego	172	1. Chłop podolski	256	1. Ciągienie loteryi Tow. Dobroczynności	4
1. Cybulski Wojciech, przez Jana Zacharyasiewicza	145	2. Zarys charakterystyczny ludu litewskiego, p. A. Osipowicza	280	W kwestyi rzemieślniczej, p. Mizerskiego	15
1. Godebski Ksawery, p. K. Estrejchera	13	VI. DRAMATA I KOMEDYE.		Nekrologia półroczna, p. Juliana Heppena	31
1. Kaniewski Ksawery, p. F. M. S.	193	Wspomnienia z powiatu pińskiego, p. E. Orzeszkową		1. Żyzniarze, p. W. Szymanowskiego	76
1. Karadziej Wuk, p. R. Zmorskiego	229, 246	Piérwsza pacjentka, p. Wł. Sabowskiego		1. Henryk Litolf, p. tegoż	115
1. Lubowski Józef, p. I. Krzyżanowskiego	37, 58	23, 35, 45, 59, 71, 95, 105.		Drożyna mieszkań, p. A. Makowieckiego	118
1. Malcz Karol, p. Ludwika Jenikego	219	1. Dobry starosta, p. R. Zmorskiego	25, 41	1. Pożar warsztatów drogi żelaznej, p. L. Jenikego	136
1. Michałowski Piotr, p. F. M. S.	277	Obrazy z życia i natury, skrócone przez Wincentego Pola, z rysunkami J. Kosaka i A. Schouppégo:		1. Ludwik Panczykowski, p. W. Szymanowskiego	163
1. Młocki Włodzimierz, p. K. Estrejchera	253	5. I. Na lodach	150, 160	1. Antoni Kątski, p. H. Skimborowicza	187
1. Oleszczyński Antoni, p. Sewerynę z Ż. D.	143, 148, 167, 190, 200.	9. II. Na wodach	293, 303	Józef Sławiński, (wspomnienie pośmiertne)	243
1. Padniewski Filip, p. F. M. S.	265	Życie za życie, p. W. Morzkowską, 179, 191, 202, 214, 227, 239, 251, 263, 275, 287, 299.		p. R. D.	248
1. Pilat Stanisław, p. W. Zawadzkiego	157	VII. PODRÓŻE.		1. Ole-Bull, p. E. Kanię	248
1. Supiński Józef, przez tegoż	73, 88	Z Tyflisu pod Ararat, p. K. Łapczyńskiego		1. Frieman i Duleba, p. E. Lubowskiego	259
1. Żardecki Józef, p. L. Rzeczniewskiego	97, 111	20, 33, 47, 83, 91.		XI. PRZEGLĄD MUZYCZNY I TEATRALNY.	
II. OPISY MIEJSCOWOŚCI, KOSCIOŁÓW, ZAMKÓW I GMACHÓW.		Wrażenia z podróży, p. M. Kamińskiego		Ze świata muzycznego, p. S. M. R.	
1. Kościół w Chodlu	4	VIII. HUMORYSTYKA.		10, 87, 108, 147.	
3. Grójec, p. F. M. S.	16	IX. POEZYJE.		Ze świata muzycznego, p. E. Kanię, 191, 238, 287.	
2. Międzybóż, p. Liwskiego	31, 217	1. Nowy rok, p. Floryana (St. M. Rzętkowskiego)	1	Przegląd teatralny:	
6. Nowa Praga, p. L. Jenikego	40	Z „Baśni” Adolfa Heyduka, p. tegoż	3	„Syn Giboyer’a,” p. E. Lubowskiego	
5. Pobieźny rzut oka na niektóre zamczyska i góry sypane, p. A. Osipowicza	55, 63	Słowniki Jagiełły, p. Falkiewicza	7	„Żony uczonych,” p. W. Szymanowskiego	
1. Kościół w Dębnie	88	Z ateńskich sonetów, p. Mirona	33	„Ofiary majątku,” p. tegoż	
1. Jabłonowo, p. A. K.	92	1. Gniazdko, p. G. Puzyninę	49	„Portrety kochanka i męża,” p. t.	
1. Kościół o. o. bernardynów we Lwowie	112	Strzechy ubogich, p. E. Ch.	72	„Piosnka wujaszka,” p. t.	
1. Kościół św. Stanisława na Skałce w Krakowie, p. Wł. L. Anczyca	124	Rzeka	87	„Cicha woda brzegi rwie,” p. t.	
1. Domy drewniane w Wiśniczu	125	1. Rozsądne dziewczę, p. Mirona	100	„Po dwóch latach,” p. t.	
1. Zamek w Wiśniczu	137	1. Śród ciszy, p. Floryana	101	„Płeć piękna,” p. t.	
1. Kościół na Kaukazie p. J. S.	140	Posąg, p. S. Zaleskiego	117	„Klucz Metelli,” p. t.	
3. Łęczysca, p. H. Ciemnińskiego	171	1. To lubię (wyjatek z balady Mickiewicza)	133	„Młodość Muszkietierów,” p. t.	
1. Jaskinia Woroniczów, p. Prusinowskiego	205	1. Rączka, p. Józefa z Mazowsza	169	XII. PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.	
1. Pułtusk, p. F. M. S.	220	Chomonto i siodło (bajka)	180	„Teorya poezyi, w związku z jej historią, dzieło A. Bądzkiewicza,” p. Bełcikowskiego	
1. Widok Warszawy od strony Pragi	245	Pocziwy osioł, (bajka)	192	Przegląd piśmienniczy, p. F. Faleńskiego	
1. Wieża narożna kościoła o. o. bernardynów w Wilnie, p. K. Roemera	280	Zastarzałe pojęcia, p. A. K.	211	82, 90, 101.	
1. Kościołek w Saryi	280	Płacz sieroty, p. A. Maszewskiego	228	Przegląd piśmienniczy, p. J. K. Turskiego	
1. Horoszek i jego hyperyty, p. G. Ossowskiego	289, 306.	1. W Alpach, p. A. Rembowski	241	O przekładzie Hefftera, p. pr. Białeckiego	
III. PAMIĄTKI HISTORYCZNE, POMNIKI, STAROŻYTNOŚCI, KOSTIUMY I ZABYTKI PRZESZŁOŚCI.		Śmierć Bekwarka, p. J. K. Turskiego	261	236, 244.	
1. Chrystus Pan w Ogrójcu, rzeźba Wita Stwosza, p. F. M. S.	181	Głowa i ogon, (bajka)	267	Słowno o poezyi i o „Pieśniach” Mirona, p. A. Bełcikowskiego	
1. Zabytki archeologiczne w skarbcu krakowskim, przez Wł. L. Anczyca	186	Szwagrowa wzór niewiasty, p. Floryana	273	XIII. PRZEGLĄD MALARSKI.	
IV. POSTACIE PRZESZŁOŚCI, ZWYCZAJE I TYPY LUDOWE.		Przed Madonną Rafaelową, p. L. Sowińskiego	286.	1. „Luzak podprowadzający konia,” kopia z obrazu Brandta	
1. Przy pompie	8	X. RZECZY BIEŻĄCE.		Obrazy rozlosowane przez warszawskie Towarzystwo sztuk pięknych:	
1. Dziewczyna wiejska z okolic Sieniawy	20	XI. PRZEGLĄD MUZYCZNY I TEATRALNY.		1. „Biwuak” Pillatego, p. L. Jenikego	

[illegible]



Nr. 380.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 5 stycznia 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie.
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Nowy rok (poezya, z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Koresp. Tygodn. Illustr. — „Baśni” Adolfa Heyduka. — Kościół w Chodlu (z drzeworytem). — Ciągnięcie loteryi Towarzystwa Dobroczynności (z drzewor.). — Najnowsze odkrycia. — Słowiki Jagielly, poezya. — Przegląd teatralny. — Szkice i typy warszawskie (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Wspomnienia z powiatu pińskiego. — Ze świata muzycznego. — Pierwsza pacyentka. (Powieść). — Helena. (Powieść). Dalszy ciąg.

NOWY ROK.

W przestrzeń grobami zaległą dokoła
Zmarłych lat, zgasłych stuleci,
Nad którą gwiazda nie błyszczy
[wesola,
Ani jęć słońce nie świeci,
Wśród mogił stąpił starzec po-
[chylony
Krokiem niepewnym i drzą-
[cym,
I rzekł, stanąwszy: „Przysze-
[dłem w te strony
Zdać liczbę wiekom drżemia-
[cym.

Osądźcie, proszę, czylim wasz
[syn prawy,
Czym jak wy, larwą dwulicą;
Wszak w dziejach wieków ja po
[wieniec sławy
Chcę sięgnąć drżącą prawicą;
Jak wy, ja ludzkość do postępu
[wiodłem
I gniotłem woli żelazem,
Jak wam, mnie także były czy-
[nu godłem
I fałsz i prawda zarazem.

Teraz jam siwy, drżący i zgar-
[biony,
Dłoń mi opadła bezwładnie,
Co mnie zawiodło w te grobowe
[strony,
Niech już na wieki przepadnie.
Dla mnie wystarczy choćby iskra
[myśli
W piersi ludzkości roztlona;
Niechaj Bóg na mnie wyrok są-
[du kręśli,
A starzec — niechaj już sko-
[na!”

jako żądał, tak upadł... Do-
[koła
Huk rozwarł groby zamknięte;
Powstały duchy, podniosły się
[czczoła,
Błysnęły czaszki ocknięte.

„To brat od ziemi, — jęknęły po chwili —
Upadł w mogiłę umarły.”
„To nowy olbrzym!” — zbudzeni mówili,
I znów mogiły się zwały.

A w jasnej dali, kędy gwiazd miliona
Błyski się iskrzą bez końca,
Dziecina, w barwną szatę ustrojona
Złata ku ziemi od słońca.
Ma twarz różaną, niby wiosny kwiecie,

„Bywaj nam, roku! w nowych lat kolei
Tyś upragnioną, dziecino!
Witaj, zwiastunie uroczych nadziei,
Chwil szczęścia, co nas nie miną.
Z obłoków jasnych zleć w nasze ramiona,
Jak gwiazda wiarą błyszcząca,
Niech w obec ciebie wszelki smu-
[tek skona,
Niech słońce ciemność roz-
[trąca!”

„A wola Boska!” woła anioł
[z góry;
„A wola Boska!” świat wtó-
[rzy.
A chłopię rzuca obłoków lazury
I maską kryje twarz z róży.
Już barki stroi szatą arlekina,
Śmieje i wdzięczy się mile;
Tak w dni zapustnych wiodąc
[szał, dziecina
Wesołe niesie nam chwile.

Witaj nam, roku, w nowych lat
[kolei.
Witaj, dziecino skrzydlata!
W porankach jasnych, w burzli-
[wej zawiei
Śmiej ty się zawsze do świata.
Spójrz poza siebie: ów duch
[przeminiony,
Co legł w przestworzu zamar-
[łem,
Niech zadrży trwogą, gdy spo-
[czniesz strudzony,
Żeś ty olbrzymem, on — kar-
[łem!

Floryan.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Są chwile peryodycznie w ży-
ciu powracające, do których po-
winnibyśmy się już przyzwy-
czaić. Rozpoczęcie nowego roku
niewątpliwie do takich chwil
należy. Pierwszy stycznia, dzień jak inne. Może
trochę zimniejszy, a często trochę pochmurniejszy i
błotnistszy niż inne dni w roku; ale rzeczywiście nie
stanowi on niczego, żadnego przestanku ani odpo-



Układ i rysunek Gersona.

Na skroni wieniec majowy,
Radosném okiem spogląda po świecie,
Co temi wita ją słowy:

czynku nie zaznacza w pielgrzymce naszej doczesnej, a jednak... Nie możemy się ochronić od jakiegoś zabobonnego że tak powiem uczucia, które w tym dniu znajduje przystęp do naszego serca. Cyfra do której przez długi przeciąg dni przyzwyczailiśmy się, znikła już dla nas, a w zamian nowa zabłysła nam przed oczami. Oglądamy się wkoło siebie, jak gdyby coś musiało się zmienić w rzeczach nas otaczających. Zdaje nam się że to i w nas samych zmiana zaszła jakaś, że ten nowy rok musi wpłynąć na przeobrażenie się nasze fizyczne, a może i moralne. Czujemy że lata jeden nowy na nas włożyły ciężar, że nieubłagany czas posunął się wlocie swoim. Przywiązujemy jakąś mimowolną wartość do wypadków, których w tym dniu doznajemy, do szczęśliwych lub niepomyślnych okoliczności jakie im towarzyszą, jak gdybyśmy je za wróżbę nadchodzącej epoki uważali. Nie przyznajemy się do tego, owszem każdy z nas gotów zaprzeczyć tego zabobonnego przekonania. Pomimo jednak wszelkich rozumowań, doświadczeń i zawodów, pozostaje ono w nas niezmiennie, bo w człowieku podwójna istnieje natura, i nigdy zupełnie nie zdoła on zagłuszyć w sobie wrodzonej wiary w jakieś tajemne wpływy, ciężące nad jego przeznaczeniem. Czy to nazwiemy gwiazdą, w którą największy geniusz nowoczesny, sam Napoleon, wierzył, czyli też wprost tylko szczęściem lub nieszczęściem, zawsze wpływy te istnieją, rzeczywiście czy w wyobraźni naszej. Widziemy ludzi, którym pomimo najlepiej obmyślanych środków postępowania, wszystko łamie się pod nogami, a innych znowu, którym nawet niedorzeczności na dobre wychodzą. Szuler i spekulant, przemysłowiec i generał prowadzący setki tysięcy ludzi do boju, pojedynczy człowiek wszystko odrazu stawiający na kartę, muszą wierzyć w to szczęście, którego łut jeden, według znanego przysłowia, na szali losów ludzkich więcej ma wartości, aniżeli funt rozumu. Niedosć nawet być geniuszem, trzeba być szczęśliwym geniuszem, bo najznakomitsze pomysły i obrachowania ludzkie toczą się jakby na koleje żelaznej, gdzie jeden kamyczek, przez nieznaną porzucony rękę, cały pociąg zdoła z szyn wyprowadzić.

Ale zdaleko odbiegliśmy od zwykłego naszego sprawozdania. Nie naszą rzeczą wdawać się w rozumowania tego rodzaju; do nas należy kronika drobnych faktek w tym wielkim kaleidoskopie ludzkiej komedii. Więc nawet o dniu noworocznym niewiele wam mówić mamy, odbiegł on już bowiem w przeszłość i przyzwyczailiśmy się trochę do tej siódemki na końcu dat przez nas stawianych. A jednak dziewiętnasty wiek starzeje się powoli, dla nas zwłaszcza, którym pierwsza jego połowa dobrze jeszcze stoi w pamięci. Dla tych którzy się w bieżącym roku urodzą, łatwo będzie pełnymi siłami zajrzeć w nieznaną epokę dwudziestego wieku.

Ruch powinszowań noworocznych mniejszy był niż zwykle, może z powodu niepogodnej pory, a może też dlatego, że ludzie zaczynają powoli oswobadzać się z tych konwencyonalnych więzów. Bo i do czego prowadzą te powinszowania, jakie mają znaczenie, czego dowodzą i na co posłużą komu? Jednych nuży ciągle przyjmowanie gości, drugich zaś ciągle pukanie od drzwi do drzwi. Tak jedni jak i drudzy radziby jaknajrychlejszy pozbyć się tego ciężaru. A niełatwa to rzecz jednak, bo tego rodzaju zwyczaj i wymagania bardzo silnie zwykle zakorzeniają się w społeczeństwie. Zdawałoby się że w krótkim naszym życiu niewiele mamy czasu do stracenia, a jednak ciągle ten czas marnujemy na jakieś obojętne formuły, które sami często za śmieśność uważamy. Policzcie tylko, wiele schodów przebyć musi przez ten nieszczęśliwy dzień człowiek cieszący się mniej więcej rozgałęzionymi w świecie stosunkami, to już strach bierze na samą myśl o tej przymusowej gimnastyce.

A obowiązki noworoczne haracze, wszak i te także zasługują na wspomnienie.

Bóg wie pod jakimi pozorami wciska się to do mieszkań jaknajbardziej zamkniętych.

W obec noworocznego powinszowania niema drzwi, niema klódek, niema zamknięć żadnych. Chodzący z życzeniami nowego roku posiadają ten klucz czarowany, który wszystkie zamki otwiera.

Na poparcie naszego twierdzenia moglibyśmy mnóstwo faktów przytoczyć. Starczy jednego.

Do pewnej dość zamożnej pani w sam nowy rok melduje się jakaś nieznaną osobą.

— Kto to? pyta pani lokaja.

— Albo ja wiem, proszę pani, może z wizytą, albo z interesem.

— Czy porządnie ubrany?

— Bardzo porządnie i oto bilet wizytowy, który kazał pani oddać.

Rzeczywiście służący oddaje bilet wizytowy, z bardzo ozdobnie wylitografowanym imieniem i nazwiskiem nieznanego gościa.

— Proś, mówi pani.

Za chwilę wchodzi oczekiwany jegomość, ubrany według wszelkich form, w jasnych rękawiczkach i z cylindrowym kapeluszem w ręku.

— Cóż mi zjednało zaszczyt odwiedzin pańskich? pyta pani domu.

— Czy pani mnie nie poznaje?

— To jest... przepraszam, ale nie mogę sobie w tej chwili przywieść na pamięć....

— Ja jestem dostawcą węgla, pani dobrodzieńko, i co miesiąc przywożę tutaj ilość przez panią zamówioną. Spodziewam się więc że przy dzisiejszej okoliczności nie zechce pani o mnie zapomnieć.

Pani oniemiała i rzeczywiście było z czego.

I niechajże teraz kto śmie utrzymywać, że postęp cywilizacji nie ma swoich przywilejów.

* * *

Wiadomo że w kalendarzach obecnie wydawanych jedną z najważniejszych rubryk stanowi część informacyjna.

Otóż w tej części, pomiędzy innemi, drukowane są nazwiska i adresy obrońców sądowych, patronów, adwokatów i mecenasów, jako ludzi których miejsce zamieszkania powinno być znane ogółowi publiczności.

W jednym atoli z kalendarzów przez pomyłkę opuszczono nazwisko mecenas, z pewnością nie najmniej znanego.

W skutku tego zawiązała się korespondencja pomiędzy prawnikiem a wydawcą.

Mecenas, upominając się żartobliwie o krzywdę sobie wyrządzoną, w dowcipny sposób groził procesem, a proces, jak wiadomo, do wszystkiego przyczepić można.

Wydawca, odpowiadając w tymże samym tonie, tłumaczył się że pomyłka zaszła pomimo jego wiedzy i woli, że zresztą mecenas nie może się skarżyć na brak zajęcia, a wiadomość z kalendarza nie przysporzy mu klientów, którzy i tak tłumnie zdążają do jego kancelarii.

Na tę replikę mecenas odpowiedział przysłaniem ośmiu rubli na prenumeratę Historii Rzymskiej Mommsena, które to dzieło wydawca kalendarza podjął się wydrukować, wraz z następującym wierszem:

Kalendarz, co ogłasza aż *psie testamenta*, (1)

Zwykle o nas *prawników* z urzędu pamięta;

Sądzę więc że już tylko potrzeba dla rymu

Złożyć prenumeratę na Historię Rzymu.

By sprostować pomyłkę która się nie zdarza,

I wtłoczyć swe nazwisko w szpalty kalenda: za.

Lecz gdy tak światły autor pod firmą Ungera,

Chce streścić dzieje Rzymian, których sławę głosi

Nie żałuję pieniędzy, bo nie jestem sknera [siem,

I z ochotą przesyłam całe rubli osiem.

Zarzut skąpstwa niech ciąży każdego, lecz nie nas;

Tak za krzywdę doznaną zemścił się

Mecenas**

To więc niechaj służy za dowód, że nauka prawa nie wyklucza Feba i że pandekta nie żyją wyłącznie krzywdą rymotwórczej sztuki. A zresztą nie pierwszy to przykład gwałtownego najścia Muz w świątynię sprawiedliwości. Kilku prawników polskich odznaczyło się w literaturze, a jeden z nich, znany z kilku udatnych przekładów, napisał arcydowcipną obronę wierszem, którą nawet w całości wypowiedział przy kratkach, na wielką uciechę sędziów i licznie zebranych słuchaczy. Adwokat ów słynny był z improwizacji, które jak to powiadają sypał z rękawa, a niemało jego wierszy rzeczywistym odznaczających się dowcipem dotychczas jeszcze krąży w odpisach. Nic więc dziwnego że dziś zjawia się spadkobierca tego tak słusznie zarobionego rozgłosu.

* * *

(1) Tytuł wiersza w tegorocznym kalendarzu J. Ungera nieszczęsnego.

Ogłaszają mnóstwo przedmiotów mających iść z Warszawy na wystawę paryżką, i rzeczywiście niektóre z nich tak gustem jak i starannością wyrobu będą mogły jeżeli nie pierwszorządne, to przynajmniej nie ostatnie znaleźć tam miejsce. Gdybyśmy jednak na tej wystawie chcieli bezwarunkowo otrzymać zwycięstwo, przyszłoby nam i to łatwo, ale na inną zupełnie drogę. Ot na przykład, gdyby który z panów przedsiębiorców zechciał tam posłać omnibus warszawski, ale w całym już komplecie, z kołmi, zaprzęgiem i rymsztunkiem wszelkim, tak jak kursują po ulicach. Ręczę że żaden z Francuzów, Anglików i Amerykanów nie mógłby w takim razie z nami iść o lepsze, a palma niedbalstwa i nieporządku namby się niezawodnie dostała.

Toż samo powiedzieć można o dorożkach, które swojemi archeologicznymi zabytkami błota i kurzu, niewygodą siedzenia, brakiem stopni i drzwiczekami których ani zamknąć, ani odemknąć niepodobna, przywiodłyby do zdumienia sędziów wystawowych.

Bo że pan Rentel, albo inny fabrykant, posyła tam karétę lub amerykanke, umyślnie już i oddawna na ten cel zbudowaną, to takich karét i amerykanek dużo się tam znajdzie; ale takiej dorożki jak nasza, takiego omnibusu jak warszawski, napróżnoby na całej wystawie szukać.

Niechbyśmy posłali na wystawę nasze świece stearynowe, które w najgorszym razie mogą się stopić, ale z chwalebnym uporem palić się nie chcą, z wyrażeniem ceny, jaką za nie płacić trzeba. A i bułeczki nasze, które, według słusznej uwagi Kuryera świątecznego, bardzo łatwo mogłyby komu oko zaprząść, zrobiłyby także tam furor. Posłałbym również na wystawę sklep nasz rzeźniczy, z całym porządkiem tamże się znajdującym, z tym okrwawionym a nigdy nie mytym pieńkiem, na którym mięso rąbie się na płyty nierówno poszarpane. Posłałbym podwórkę któregoś z domów warszawskich, z całym różnobarwnym widokiem, jaki w tych nowożytnych arkadach przedstawia się oczom i... węchowi; posłałbym schody do pierwszorzędnych lokalów, oświetlone groszową łojówką, która tylko ciemność podwaja; a nawet latarnię gazową, której blask czasem lada zapalka zaćmić może. Dalibóg, wiele rzeczy moglibyśmy przesać na wystawę, nie lękając się współzawodnictwa i nie potrzebowałibyśmy do tego żadnych wysiłków ani starań. Albo na przykład papiernie nasze, dlaczego tam nie przesyłają swojego wyrobu, z wymienieniem ceny jaką zań pobierają? Warto by popisać się także z którymś z tych zgręźnych najemników warszawskich, co to nim jeden sprzęt przestawi z miejsca na miejsce, dziesięć tymczasem zepsuje lub stłucze. A i piwo nasze tak zwane zwyczajne, niewątpliwaby nagrodę otrzymało, jako napój niepodobny do strawienia, ale za to najniesmacniejszy pod słońcem. Urządzenie naszych mieszkań pod względem porządku i wygody byłoby także dla ludzi Zachodu rzeczą podziwu godną. Słowem, nie wiem dlaczego tak jesteśmy skromni, że posyłamy do Paryża to tylko, co u nas wyjątek stanowi i w czem zagraniczni niewątpliwie nie lękają się naszego współzawodnictwa, to zaś co by nam niezawodne zapewniło pierwszeństwo, pozostawiamy na miejscu.

* * *

Donoszono o mających się pojawić w Warszawie karétkach, które za niewielkiem podwyższeniem kursu, miały, zwłaszcza wieczorną porą, dotychczasowe dorożki zastąpić, i my sami powtarzaliśmy tę wiadomość. Karétki takie na obecną karnawałową porę byłyby bardzo pożądane, ale jakoś nie widać ich jeszcze, a tylko po dawnemu trzeba się obywać dorożkami, do których wsiadać, a zwłaszcza wysiadać z nich, niepodobna bez szwanku dla kobiecego ubrania. Sądzimy przeto iż wysyłanie na miasto takich karétek byłoby wcale niezłą spekulacją i powoli nawet mogłoby na ulepszenie dorożek wpłynąć. Wszakże Warszawa liczy kilku wynajmujących powozy; niechajby który z nich spróbował tylko, a ręczymy, że nie pożałowałby tej próby.

Przegląd polityki zagranicznej.

4 stycznia.

Dwie kwestye pochłaniają dziś uwagę powszechną: reformy w Austrii i zaburzenia na Wschodzie. Od

bitwy pod Sadową, Austria nie przestaje być przedmiotem ogólnej ciekawości, już to ze względu klęsk jakie poniosła w niepomysłnej z Prusami walce, już też ze względu środków jakich używa, celem zagojenia ran i zabezpieczenia się na przyszłość. Obradowanie dziewiętnastu sejmów koronnych nie objaśniło dostatecznie, jakie być mogą zamiary centralnego zarządu; przeciwnie nawet, powołanie p. Beusta zdawało się zapowiadać upadek stronnictwa autonomistów, zwanych także federalistami. Wypadek ogólny tych narad nie usprawiedliwił wszakże tych przewidywań, a odebrana dziś depesza z Wiednia urzędowo przekonywa, że p. Beleredi, stronnik federalizmu, stanowczo odniósł zwycięstwo nad centralistami, czyli stronnictwem niemieckim. Telegram z dnia 2 b. m. donosi, że cesarz Franciszek Józef wydał patent najwyższy, mocą którego sejmy koronne niewęgierskie rozwiązują się. Wybory już rozpisane i sejmy te w nowym składzie powołują się na dzień 11 lutego r. b. Po zebraniu się, sejmy przystąpić mają natychmiast do wybrania z pośród siebie delegatów czyli posłów na sejm nadzwyczajny, który zebrać się ma w Wiedniu w dniu 25 lutego i zdecydować kwestyą konstytucyjną w Austrii. Tak więc stronnictwo centralistów nie zdołało przeprowadzić idei powrotu do dawniej rady państwa i znajdzie się na sejmie przeważnie słowiańskim w znacznej względem przeciwników mniejszości. W związku z tą ważną reformą pozostaje także nowy projekt reorganizacji armii, naśladujący w głównych swych podstawach nowy projekt francuski. Ostateczne rozwiązanie kwestyi węgierskiej nastąpi prawdopodobnie po naradach nadzwyczajnego sejmiku wiedeńskiego.

Kwestya wschodnia wikła się coraz bardziej, tak dalece iż nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby rozwiązanie jej wkrótce nastąpić miało. Przedewszystkiem słusznie niedowierzaliśmy telegramom tureckim, donoszącym o uspokojeniu Greków, okazuje się bowiem, że powstanie na Kandyi trwa dotąd, zyskując coraz więcej sympatyj u mocarstw europejskich. Ten stan rzeczy wpłynął na rząd grecki, który nie mógł pozostawać obojętnym w tak żywotnej dla siebie sprawie, zwłaszcza gdy nietylko Włosi, ale i Anglicy dopomagać zaczęli Kandyotom. Zmiana usposobienia rządu angielskiego wpłynęła na gabinet francuski, który się spostrzegł, że stracić może wszelkie sympatyje na Wschodzie, jeżeli dłużej trzymać będzie z sultanem. Tymczasem Porta rozesłała podobno protestacyą przeciw postawie Grecyi, a niektóre dzienniki zapewniają, że Turcyja zerwie wszelkie stosunki z rządem ateńskim. Dzienniki francuskie utrzymują, że cesarz Napoleon zawiązał układy z Anglią i Austrią, pragnąc aby i inne mocarstwa przyłączyły się do związku, celem skłonienia Turcyi do właściwych dla chrześcijan ustępstw i zapewnienia pokoju. Ostatnie depesze z Korfu donoszą, że cztery okręty angielskie (wojenne) zaopatrzyły się w żywność i odpłynęły do Kandyi, tudzież że powstanie szerzy się w Tessalii, powstańcami zaś dowodzi grecki pułkownik Veli Menos.

Depesze londyńskie donoszą, że Porfirio Diaz z 8,000 ludzi przeszedł na stronę cesarza Maksymiliana i że Juariści napadli w dniu 20 listopada na San-Lui-di-Potosi, ale odparci zostali z wielką stratą w zabitych, ranionych i jeńcach. Podajemy te wiadomości, nie rękując jeszcze za ich wiarygodność. Projekt reorganizacji armii francuskiej, znajdujący tylu niechętnych, oddany został radzie stanu do rozpatrzenia. Podobno cesarz Napoleon mocno popiera powyższy projekt, a chociaż sam zrobił w nim pewne cząstkowe zmiany, zalecił miał wszakże swoim doradcom, aby główne podstawy utrzymały się w radzie stanu. Jako pogłoskę zaznaczyć musiemy obiegającą tu znowu wieść o kongresie monarchów w Paryżu; dodamy wszakże iż wątpić się godzi czy to marzenie gabinetu francuskiego da się kiedykolwiek urzeczywistnić. Z Włoch nie odebrano w Paryżu żadnych ciekawszych szczegółów, Monitor tylko zapewnia, że rząd papieżki nie jest dalekim od zgody. Tymczasem inne dzienniki, mianowicie włoskie, zaznaczają powolność układów.

(W. T. B. Ind. Belge. J. des Deb. France. Schl. Ztg.)

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.

Wilno, w grudniu 1866 r.

Jeżeli w ogóle wszelkiego rodzaju mecenasi do białych kruków u nas należą, to tém bardziej mecenasi

sztuk pięknych. Wegetują sobie one u nas jak kwiatki polne; niebieska rosa je żywi, letnie słońce grzeje, wiosenny wietrzyk pieści, a pocziwa ziemia nie żałuje dla nich skromnego kąta. Lecz rzadko znaczne oko oceni ich wdzięki skromne, rzadziej hojna ręka pieczę je otoczy.

Jeszcze z muzyką pół biedy. Tę jeżeli nikt nie wspiera, to przynajmniej każdy rad posłuchać, a gdy biednemu wirtuozowi zabraknie słuchaczy, gdy puste ławki sali koncertowej zajmą tylko mecenasi *in spe* i gratysowicze, wówczas przynajmniej tę ma korzyść, że... pójdzie stroić fortepiany.

Może to trochę przykro dla człowieka, który ducha swego poił melodyami Haydna, Beethovena i Webera, ale „kto nie jest architektem, może być malarzem.”

Gorzej daleko artystom-malarzom.

Kto nie ma kilkuset rubli rocznego dochodu, kto lubi spokojność i niezależność, niech lepiej szyldy lub portrety starych dewotek maluje, a niech ze sztuką, we właściwym tego słowa znaczeniu, rozbrat weźmie. Ale i w takim razie może on pozazdrościć swojemu towarzyszkowi strojącemu fortepiany, bo gdy tamten weźmie rubelka za fatygę i „Bóg zapłać” w dodatku, biedny portrecista przez prawdziwe piekło, jak Dant za życia, przechodzić musi.

— Jaktóż pan za tak mały portret żądaś tyle, co pan X. za trzy razy większy?

— Ach! ach! jakżeś starą mię pan zrobił na swoim portrecie. Podobną tu jestem do babki nieboszczki.

— Niezły portret, podobieństwo dostateczne; szkoda jednak żeś mi pan nie dał postaci więcej zamyślonej, ot np. z książką w ręku... (nb. ten pan od wyjścia ze szkół tylko rejestra gospodarskie i kalendarze czytywał).

— Pan żądaś kilkadziesiąt rubli, ależ ja konia za te pieniądze mógłbym kupić. A zresztą, bez gniewu, cóż to wielkiego namalować obraz? szach, mach i po wszystkim.

Takie to są przysmaki, które bardzo często przychodzi spożywać artystom nietylko u nas, ale i w ogóle wszędzie, gdzie sztuka na niskim stoi stopniu.

Ubliżylibyśmy jednak prawdzie, gdybyśmy podobną obojętność na ogół chcieli rozciągnąć; owszem, dziś już ludzie tacy coraz rzadziej się spotykają, a jeżeli niejedyn może w duchu tak myśli, to przecież nie śmie głośno z podobnym zdaniem się wyrwać. A to już, przyznacie, wiele znaczy.

Mecenasów jednak sztuk pięknych, a głównie malarstwa (o rzeźbie i architekturze mowy tu być nie może), zaledwie kilku naliczylibyśmy mogli. Zaszczytne miejsce pomiędzy nimi trzymał zmarły w zeszłym miesiącu prałat katedry wileńskiej ks. *Kazimierz Zaleski*, który nietylko słowem, lecz czynem popierał miejscowych artystów. Będąc przez długi czas proboszczem ostrobramskim, znakomitą część swoich dochodów poświęcał na wspieranie artystów miejscowych i jeżeli prace wielu z nich stały się znane, jeżeli ich imię dostąpiło pewnego rozgłosu, zawdzięczają to w części zacnemu prałatowi Zaleskiemu. Niepospolity znawca sztuk pięknych, umiający trafnym okiem i w pobieżnym nawet szkicu przyszłego mistrza odgadnąć, nie baczyl na wielkość obrazu, nie targował się z artystą, ale płacił mu nawet nierzadko więcej, niż ten ośmielił się żądać.

Niedziw więc, że w ciągu zanego swego życia ksiądz Zaleski zebrał znaczną, bo ze stu przeszło obrazów złożoną galeriā, która tém jest ciekawszą, że składa się z obrazów przez miejscowych artystów malowanych. Znajdzie się tam zapewne niejedna mierność, ale są i płótna, z którymi wartoby ogół zapoznać. Nadewszystko godne są widzenia utwory Szemesza, Majeranowskiego, Żameta, Marszewskiego, Dmóchowskiego, Strausa i kilku innych.

Galeria ta była jedyną rozrywką zmarłego. Ję się całkiem oddał, w nią większą część majątku swego włożył. Z jakąż nieklamana serdecznością oprowadzał po niej znajomych i nieznajomych; jak go cieszyły pochwały oddane ulubionym jego obrazom, które istotnie na to zasługiwały; jak czuł się zadowolonym, gdy protegowany przezeń artysta dostąpił jakiegokolwiek rozgłosu i częściowego przynajmniej uznania!...

Budujący to zaiste widok starca, kojącego swe cierpienia widokiem piękna. Tak, *cierpienia*, bo zmarły od wielu lat był dotknięty ciężką niemocą, z powodu złamania obu rąk. Pomimo to jednak boleść

ciała nie zdołała złamać ducha; do ostatniej chwili był wzorem cierpliwości i chrześcijańskiej rezygnacji.

Mówiąc o malarstwie, niepodobna zamilczeć o szkole rysunkowej elementarnej, przeważnie do rzemiosł zastosowanej, mającej się wkrótce w Wilnie otworzyć.

Rzemieślnicy nasi na gwałt potrzebują jakiegś dźwigni moralnej; to też szkoła taka bardzo jest na dobie. Gdyby się tylko chcieli uczyć, gdyby w rzemiosle swoim coś więcej pragnęli upatrzeć, jak środka do życia, gdyby chcieli zrozumieć tę zasadę, że pożyteczne wówczas tylko może być dobrem, gdy z pięknem się połączy! Czy to nastąpi? Z serca byśmy życzyli.

Wczesne i niespodziewane zimna strwożyły naszych rolników, a nawet tu i owdzie dotkliwie dały się uczuć. Wielkie są obawy o przyszły urodzaj, a skutkiem zapewne złej drogi, ceny produktów podskokowały.

Z „Baśni” Adolfa Heydnka, poety czeskiego.

1. Ślub.

Miły mi mój ślubował,
Ze będziemy swoi,
Gdy uprawi ogródek
I izdebkę zdwoi.

Gdy się będzie zielenił
Sad warzywem wkoło,
Gdy dach nowy pokryje
Chatynkę wesołą.

Oj Ty Boże mój miły,
Jakież to poszycie!...
W sadzie grządki są same,
W domku dzwon na szczycie!

Ma tam czarną komórkę,
Zamiast dwóch we dworze.
Okłamał mnie mój miły,
Moim być nie może!...

2. Kruk.

Nie chodź, panienczko,
Do dąbrowy rankiem,
Tam kruk czarny wleciał
Nad drzew leśnych wiankiem.

Czarny kruk i chytry,
I szkodzić gotowy,
Nie chodź, panienczko,
Rankiem do dąbrowy.

Poszło dziewczę zrana
Do leśnej ustroni,
Aż tu ją niebogą
Kruk złośliwy goni.

Czarny kruk i chytry
Dał jej pierścień złoty,
Nie dał jej do swadźby,
Lecz za skarb jej cnoty.

3. Skarby.

Wielki, możny ja jestem pan!
Mam srebro, złoto moje;
Lecz trwożę się, by w smętny dzień
Nie znikły mi oboje.

Ja srebro moje cześć co dnia,
A złoto chowam w duszy.
Ich los, co wciąż udrecza mnie,
Prośbami się nie wzruszy!...

Pod lipą, w cichej chatce mam
Ukryte me dostatki:
Srebro — to ojca biały włos,
A złoto — serce matki!...

Floryan.

Kościół w Chodlu.

Pomiędzy Opolem a Bychawą, w gubernii i powiecie lubelskim, w okolicy płaskiej i dosyć piaszczystej, leży miasteczko Chodel, które nawet z porządniejszemi u nas wsiami nie może iść w porównanie.

Jest ono wprawdzie dość starożytne, gdyż w r. 1440 założone; lecz zbiegiem różnych okoliczności zmieniło już kilkakrotnie swój charakter, będąc raz wsią, to znowu miastem. Nawet w naszych czasach, od 1825 do 1838 r., po raz trzeci czy czwarty stało się osadą wiejską, odtąd zaś powróciło raz jeszcze do dawnego swego znaczenia, chociaż i dziś nie jest właściwie niczem innem jak wioską.

Z tém wszystkiém istnieje tu kościół, który i znacznego miasta byłby ozdobą. Fundował go w r. 1530 pod wezwaniem św. Trójcy Bernard Maciejowski, kasztelan lubelski, ojciec Samuela biskupa krakowskiego i kancle-rza w. kor., najznakomitszego u nas męża stanu w XVI wieku. Piękny ten gmach ma wymiary ostrołukowe, a na czele wieżę 109 stóp wysoką o pięciu kondygnacjach, ozdobnemi blankami u góry zakończoną, które, tak jak w starowłoskich budowlach, zebrany do środka dach w zupełności zakrywają. Przykład takiej wieży znajduje się w małym kościółku parafialnym we wsi Strzygach w powiecie lipnoskim; ale tutaj przednia ściana, w półokrąg na zewnątrz wyęta, jest osobliwością, jakiej żadne inne tego rodzaju budowle nie przedstawiają.

Wieża ta, tak jak i sam kościół, stawiana jest z cegły na czerwono; nie taki przecież w nich materiał i robota, jaką się odznaczają wszystkie inne z tego wieku kościoły. Znakomite zniżenie dachu na obu nawach dużo zmniejszyło poważną jego postać; pomimo to dziś jeszcze pomiędzy kościołami w całym Lubelskiem jedno z pierwszych miejsc zajmuje.

Wnętrze atoli mniej jest charakterystyczne, niżli kształt jego zewnętrzny. Ołtarze są niegorszej roboty, wielki zwłaszcza wspaniały, ale z powodu dawności swojej już zruinowany. Zastępują tylko na uwagę znajdujące się tutaj pomniki fundatorów Bernarda Maciejowskiego, zmarłego w r. 1542, i jego żony w całych figurach, z marmuru czerwonego pięknym wykute dłutem. W skarbcu także godny widzenia wytwórny kielich srebrny, w stylu tak zwanym rokoko wyrobiony.

Ciągnięcie loteryi Towarzystwa Dobroczynności.

Sto tysięcy losów, z których każdy kosztował tylko złotówkę, miały ubogim przynieść sto tysięcy złotych.

Grosz to nielada, a przecież zebrany bez szczególnych wysiłków, ze współudziałem niezamożnych nawet osób.

Z pomiędzy tych stu tysięcy losów, tysiąc przypadało na szczęśliwców wybranych, którym ślepa fortuna przynieść mogła bogatszy lub uboższy fant; a było takich bogatszych fantów niemało. Kto mógł, poniósł dla ubogiej braci ofiarę z dziesięciny dochodów własnych, i zebrała się summa zamierzona. Ten i ów, uzbrojony biletem loteryjnym, puszczał się w zawody z marzeniami, których celem był... srebrny stołowy serwis!...

Jak los ślepy rozporządził, pokaże to tabelka z ciągnięcia, w d. 17 b. m. i następnych odbytego.

Towarzystwo Dobroczynności przy owym ciągnięciu użyło sposobu prostego, i dowcipnego przytém, który to sposób skrócił działanie, przy stu tysiącach losów bardzo nudne i długie.

Urządzono pięć kół. W każdym z nich znajdowało się po dziesięć liczb pojedynczych, od zera aż do

Najnowsze odkrycia,

wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Człowiek przedtradycyjny. — Elektromagnesy Carrier'a. — Ważne ulepszenia w machinach parowych Poteza i Thibaut'a. — Wyroby z tektury kamienniej Dufournet'a. — Pettenkofera sposób odświeżania obrazów. — Kurar i kuraryna. — Źródła fosforu i magnezyi. — Zmiany klimatu Wielkiej Brytanii. — Sole zachowawcze. — Mechanizm p. Maistre'a, utrzymujący niezmienną temperaturę. — Zastosowanie siarki czerwonej do machin elektrycznych. — Spostrzeżenia Davaine'a nad angwilami. — Studya Goepert'a nad dyamentem.

Do tajemnic które rozum, uzbrojony całą potęgą wiedzy, zgłębić usiłował, należą bezwątpienia pierwsze objawy życia na ziemi. Wspaniała epopeja stworzenia, uderzając umysł wielkością, ciekawość nieokreślonym urokiem, wyczerpywała geniusz i prace

wielu pokoleń. Dzieje ludzkości pierwotnej wypisane są w łone ziemi, na kamiennym pergaminie; odszukać je, wyczytać, oto zadanie, dla rozwiązania którego nauka nie wahała się zstąpić w podziemne królestwa, aby zawołać, jak niegdyś Archimedes: Eureka!

Geologia, uchylwszy zaledwie brzegi tajemniczej zasłony, odkryła nam jednak obraz formowania się ziemi, błyszczący bogactwem kształtów, żywością barw i grozą żywiołów; massa rozpalona naszej planety powoli w przestrzeni stygnie, kształtuje się, wydaje twory roślinne i zwierzęce, które giną w straszliwych kataklizmach, aby z kolei zająć mogły ich miejsce istoty doskonalszej organizacji. Po-

dziwiamy ten obraz, nie wiemy jednak w jakich powstawał warunkach; dostrzegamy kolosalny łańcuch jestestw, lecz nie pojmujemy w jaki sposób łączyły się cudowne jego ogniwa, jak zapelniały różne jego działy, od muszli do zwierząt ssących. W miejsce tych tajemnic, zaiste nigdy niezbadanych, nasuwa się kwestya niemniej szerokiego znaczenia, dotycząca starożytności ludzkiego rodu: czy ludzkość liczy kilkadziesiąt wieków tylko istnienia, czy też, dla odśledzenia jej metryki, należy sięgnąć w odległe epoki geologiczne, aż do olbrzymich grubo-skońnych okresu diluwialnego?

W ostatnich czasach nauka rzuciła tu tyle światła, że dzień z poza pomrok przeszłości przeświecać zaczyna; ciekawe i nowe fakty grupujące się coraz wyraźniej, nagromadziły liczne i ważne świadectwa, które zdają się udowadniać współczesność człowieka z mamutami. Dla jaśniejszego określenia kwestyi zajmującej geologów, zniewoleni jesteśmy poświęcić kilka linii objaśnieniom wstępnym, nieuniknionym.

Gdy na powierzchni ziemskiej sferoidy sformowała się pierwsza zastygła skorupa, w skutek zgęszczenia



KOŚCIÓŁ W CHODLU. (Rysował z natury Kozarski).

dziwiaki. Ciągniono ze wszystkich kół jednocześnie. Z wyciągniętych więc pięciu pojedynczych numerów formowały się większe liczby, a pięć zer oznaczało sto tysięcy. Gdyby liczba jaka przypadkiem powtórzyła się dwa razy, miała być uważaną za nieważną; jednakże podobne powtórzenie tak jest trudnem, że o ile wiemy, nie zdarzyło się wcale.

Z osobnego koła ciągniono całkowite numera, oznaczające fanty.

Takim sposobem, przy niezmiernie skróconem i uproszczonem działaniu, w przeciągu kilku dni fortuna ogłosiła wyroki swoje niezmiennie... nawet dla jej wybrańców. Ci przecież którym poskapiła darów swoich, mogą sobie na pociechę powiedzieć: jeżeli przegrał, wygrali zato ubodzy.

I rzeczywiście, tych fortuna nie zawiodła, może pierwszy raz w życiu, dzięki Towarzystwu Dobroczynności.

się par przepelniających jej atmosferę, powstał ocean: warstwy dawnoosadowe i przechodowe ułożyły się przed innemi w głębi tych mórz pierwotnych, ustępując z kolei miejsca formacjom: drugorzędnej, trzeciorzędnej, dyluwialnej, i tworząc w ten sposób pokłady, spoczywające na sobie jak karty olbrzymiej księgi. Przeglądając te karty, znajdujemy: że warstwy plutoniczne, powstałe pod wpływem ognia podziemnego, nie zawierają żadnego śladu tworów organicznych; zaś warstwy neptuniczne, uformowane w głębi wód, obejmują liczne szczątki istot niegdyś obdarzonych życiem.

W miarę jak zbliżamy się do peryodu nam współczesnego, cechy zwierząt coraz więcej mają podobieństwa z gatunkami dziś zaludniającymi ziemię; na granicy epoki dyluwialnej ukazuje się zupełnie nowy szereg zwierząt, przypominających rodzaje tegoczes-

Po większej części zwierzęta te stały się ofiarami straszliwych przewrotów, jak wylewów lub wstrząśnień ziemi, w skutek których zapadały jedne lądy, wynurzały się drugie. W tych katastrofach peryodu napływowego (*) giną niedźwiedź i hyena kopalne. Po nim przychodzi peryód lodowy, niszczący kilka jeszcze gatunków, a na koniec peryód tegoczesny, do dni naszych trwający.

Czy więc człowiek żył jednocześnie z niedźwiedziem i hyeną kopalną, czy istnienie jego sięga okresu lodowego, czy też chwili w której ziemia przechodziła w epokę geologiczną nam społeczną? oto są kwestye, które nauka rozwiązać usiłowała. W ostatnich latach człowiek kopalny był przedmiotem zaciętych sporów. Walka przeciwnych sobie teoryj posuwała się do fanatyzmu; liczne jednak i cech identycznych odkrycia, na całym obszarze lądu starego i

bloki, kolumny, draperye, obok dziwnie pięknej rzeźby stalaktytów i stalagmitów; te ściany, zasłane kryształami, tworzą architekturę niepojętego wdzięku i lekkości. Nie wszystkie jednak groty są formacji krystalicznej; niektóre zupełnie jej są pozbawione, lecz zato zawierają ważne dla archeologii skarby.

Groty Malet w Cewennach, Abbeville, Lherme, Arcy około Avallon, Neanderthal, dostarczyły wiele ciekawych okazów; te jednak nie mogą współzawodniczyć ze szczątkami, jakie napotkano w podziemiu Aurignac.

Miasto tegoż nazwiska, leżące na pochyłości wzgórz fajolskich, jest stolicą kantonu wyższej Garonny. Wzgórza te, powstałe z warstw numulitycznych, kryją w stoczystym swym boku rozpadlinę, w której nieraz widziano znikającego królika. Jeszcze w roku 1852 robotnik zajęty sypaniem grobli, dostrzegłszy otwór,



CIĄNIENIE LOTERYI TOWARZYSTWA DOBROczynności. (Rysował z natury Pillati).

ne, a niekiedy nawet przedstawiające z nimi identyczność.

Wtedy to przejawiają się: *Ursus spelaeus* (*) (niedźwiedź jaskiniowy); *Felis spelaea* (lew jaskiniowy); *Hyena spelaea* (hyena jaskiniowa); *Elephas primigenius* (mamut); *Megaceros hibernicus* (jeleni wielkogalezisty); *Rhinoceros tichorhinus* (nosorożec kopalny); *Cervus tarandus* (renifer); *Bison europaeus* (zubr); *Cervus elephas* (jeleni kopalny); *Bos primigenius* (byk pierwotny); *Felis antiqua* (kot olbrzymi); *Cervus somnonensis* (daniel olbrzymi); *Equus fossilis* (koń kopalny); *Lepus dyluvianus* (zając dyluwialny) i kilka gatunków fauny nam społecznej.

(*) Brak w języku polskim nomenklatury zwierząt kopalnych, zniewała nas posilkowac się terminami, jakkolwiek niemającymi ścisłości naukowej, lecz objaśniającymi nazwy łacińskie.

nowego dokonane, zdają się usuwać wszelką wątpliwość. Pieczary podziemne w różnych głębokościach ziemi napotykanie, brzegi morskie, dna jezior, na powierzchni których zamieszkiwały niegdyś ludy, których historia gubi się w pomroce odległych czasów, obejmują w sobie szacowne zabytki światów zaginionych i niewyczerpaną dla wiedzy są skarbnicą.

Groty Anglii, Holandyi, Belgii, Alp, Pirenejów, Apeninów zapełnione są szczątkami zwierząt kopalnych, pomiędzy którymi niekiedy kość ludzka obok starożytniej broni kamienną spoczywa. Nic wspólniejszego nad widok tych podziemi, na kilkanaście tysięcy stóp czasem rozległych, nierównego poziomu, wciśniętych w skały wapienia; wyobraźnia znajduje tam nieporównane bogactwo kształtów: alabastrowe

po zanurzeniu ręki, wydobył z tamtąd kość, rozpatrując zaś uważniej szczelinę, znalazł płytę głazu zamykającą wejście, odsunął ją i wszedłszy wewnątrz, ujrzawszy prawdziwą kostnicę ludzką. Odkrycie to stało się głośnem. Doktor Amiel, mer miejscowy, polecił kości zebrać i pochować na miejskim cmentarzu, przez co zbiór ten, liczący 17 szkieletów do rozmaitego wieku i płci należących, został dla nauki straconym.

W r. 1860 znakomity archeolog Lartet, mając sposobność oglądania kilku ułamków z téjże groty pochodzących, wiedziony gorącą żądzą poszukiwań, przybywszy do Aurignac, znalazł poza obrebrami groty zgłiszczą pełne popiołu i węgla, w których odszukał około stu noży i pocisków krzemiennych, strzał z kości i narzędzie z rogu renifera, pomieszczone ze szczątkami zwierząt kopalnych: niedźwiedzia, lwa, mamuta, jelenia i z kośćmi trawożernych. Na 9 gatunków cechujących formację dyluwialną, znaleziono tu

(*) Okres dyluwialny można nazwać napływowym także, albo ściślej biorąc dawno-napływowym.

8, i prócz tego dwa zęby nosorożca, wśród rozrzuconych kości tego zwierzęcia i hyen, wraz z ekskrementami skamieniałymi tych ostatnich. Najciekawszym przedmiotem były kości nosorożca, strzaskane widocznie uderzeniem broni kamienną i pogryzione następnie przez hyeny, których zęby bardzo wyraźnie na nich się odcisnęły. Fakt ten wymowny okazywał jasno spółistnienie człowieka z gruboskórnymi kopalniami, a poparły go wkrótce świadectwa liczniejsze, mianowicie odkrycia p. Lartet w podziemiach Périgord, w latach 1864 i 1865 dokonane. Na kości kopalnej znaleziono tam wyróżniony ostrym krzemieniem rysunek mamuta, z drobiazgową dokładnością. W r. 1864 na koniec doktor Laveillé odkrył w okolicach Pressigny-le-Grand, kierując się objaśnieniami p. Chevalier, ogromne zbiorowisko toporów krzemienianych i noży, długich prawie na dziewięć cali, obok innych nieznanego użytku narzędzi przemysłu pierwotnego, które odpowiednio do warstw geologicznych w jakich się przechowały, pochodzą z epoki może wcześniejszej od napływów.

Odkrycia te, połączone ze studiami niepospolitej wartości p. p. Troyon'a, Morlot'a, Kellera, Desor'a w Szwajcarii, p. p. Stoppani'ego i Nicolucci'ego we Włoszech, i spostrzeżeniami naturalistów duńskich, nie tylko wskazują odległą starożytność naszego rodu, ale nadto pozwalają kręślić życie, obyczaje i przemysł ludów pierwotnych, z ułamków niezaprzeczonych świadectw, jakie przechowała ziemia.

Ale nie poprzestając na tém co przekazały nam podziemne pieczary, zobaczmy co wypowiadają brzegi samotne oceanu. W wielu miejscowościach Danii napotkać można w bliskości morza ogromne stosy skorup, niekiedy na 1000 stóp długie, na 200 stóp szerokie, a 10 stóp grubości mające; rozległe masy skorupaste tworzą obszerne koła, otaczające pusty środek, który jednak był niegdyś zamieszkałym, człowiek bowiem tylko mógł je nagromadzić, jak tego dowiodły ściśle spostrzeżenia naukowe.

Duńczycy nazywają je: *Kjoekkenmoeddings*, czyli *stosami szczątków kuchennych*. Składają się one z mnóstwa muszli, skorup mięczaków bezgłowych i innych gatunków tych zwierząt jadalnych, z kości zwierząt ssących, ptaków, ryb, a prócz tego zawierają noże, topory, narzędzia z krzemienia, rogu lub z kości wyrobione, roboty grubiej, zwęglone drzewo i popiół. Śród skorup napotkać można wiele ułamków zwierząt dzikich: danielów, ostrowidzów, sarn, wilków, lisów, bobrów, fok i *byka pierwotnego*, nieistniejącego już dzisiaj; niektóre kości są rozbite, jakby narzędziem służącym do wydobywania szpiku. Ze stosów tych wybrano 10,000 okazów, stanowiących ozdobę muzeum zoologicznego w Kopenhadze. Szczątki pokarmowe duńskie okazują, czém żywił się śmiały rybak i nieustraszony myśliwiec w czasach przedtradycyjnych.

Torfowiska duńskie są jeszcze szacowniejsze dla geologów; natura tam na każdej stopie kwadratowej przechowała niewątpliwie ślady pobytu człowieka. Składają się one z trzech warstw, spoczywających na sobie i zupełnie odmiennych pod względem roślinności. Najstarsza jest peryodem *jodły*, dziś w Danii nierosnącej; w niej szczątków ludzkich brak zupełnie. Druga jest peryodem *dębu*, obecnie bardzo tam rzadkiego; zawiera w sobie kości ludzkie i broń krzemienią. Trzecia na koniec jest peryodem *buku*, teraz gęsto jeszcze rozrastającego się na północy Danii; obejmuje broń i narzędzia ze spiżu.

Odpowiednio do tych pokładów torfiastych, uczeni duńscy dzielą pierwszy cykl dziejowy na trzy okresy:

1) *Kamienny*, w czasie którego człowiek zbroi się i zaopatruje w narzędzia, obrabiając krzemień i inne kamienie. Popiół i drzewo zwęglone dowodzą, że ogień był mu już znany.

2) *Spiżowy*. W okresie tym człowiek poznaje metale, przerabia je, łączy miedź z cyną, kształtuje narzędzia i naczynia. (Według spostrzeżeń uczonych amerykańskich, między okresem kamiennym a spiżowym istniał *miedziasty*, w czasie którego ludy pierwotne używały miedzi, przedstawiającej się im w stanie rodzimym).

3) *Żelazny*. Przemysł w nim znacznie rozwinięty; ludy wynajdują szkło, monetę, alfabet.

Podziały te nie mogą być ściśle i nie były zapewne jednostajne i współczesne dla całej przestrzeni ziemi; w odległych bowiem tych czasach istniały, jak i dziś jeszcze istnieją, różnice charakterystyczne ludów, nadające im mniejszy lub szerszy rozwój cywilizacji.

Wnętrze Brazylii przechodzi dziś okres kamienny, Polinezja żelazny, Europa broni palnej; pomimo jednak niedokładności, podziały te określają zmiany wiekami dokonane i wskazują gdzie kolébki ludów pierwotnych szukać należy.

Odległość dzieląca nas od okresu kamiennego jest nieznaną, nie ulega jednak wątpliwości, że jest niezmierną. Za czasów rzymskich Dania była zarosłą przepysznymi lasami bukowymi; za dni naszych jeszcze te drzewa ścielą się gęsto, szczególnież też ku stronie północnej, dowodząc, że dwadzieścia wieków nie sprawiło żadnego widocznego wpływu na tę roślinność. Przed epoką spiżową nie było tam buków, tylko dęby. W okresie kamiennym na koniec krzewiła się jodła, a torfowiska duńskie przekonywają, że w tych starożytnych lasach przebywał człowiek. Jeżeli więc dwadzieścia wieków nie zmieniło w niczym wegetacyi jutlandzkiego półwyspu, jakież olbrzymi cykl wieków musiał upłynąć, zanim jodła ustąpiła miejsca dębowi, a ten z kolei bukowi!

Widziemy z powyższego zarysu, że grotty, brzegi morskie i torfowiska złożyły świadectwa spółistnienia człowieka z kopalniami zwierzętami formacyi przynajmniej napływowej. Przejdziemy teraz na bagna i wody, zabudowane szczególną architekturą, aby tam odszukać śladów zaginionych ludów, dla dopełnienia obrazu.

Przykłady budownictwa wodnego są liczne. Herodot opowiada o Paeonianach, zamieszkujących jezioro Prusias; Dumont d'Urville opisuje miasta, rozciągające się ponad jeziorami Nowej Gwinei; Malajczycy i Chińczycy z Bangkok stawiają chaty na palach powbijanych w muł jezior; na lagunie Macaraybo wznosi się mała Wenecja drewniana, znana pod imieniem Venezueli; za czasów rzplitej rzymskiej, Batawowie mieszcili się w szałasach rozpiętych na wysokich palach; niektóre ludy, żyjące śród rozległych płaskich obszarów (pampas) Orenoku i Amazonki, budują się podobnie; Jawańczycy na koniec, dla zabezpieczenia się od napaści tygrysów, mieszczą się w chatach prawie odosobnionych od ziemi. Człowiek pierwotny szukał również na powierzchni wód schronienia dla siebie; dowodzą tego szczególne przedmioty odkryte w mule jeziora Zurich przez Ferdynanda Kellera; ogromna ilość pali, kości, kamieni od ognia czczerniałych, z tamtąd wydobytych, wskazuje istnienie starożytnego miasta, w bardzo od nas odległej epoce.

Odkrycie to nadało żywy popęd poszukiwaniom na tej drodze: Włochy, Szwajcarya, Brandeburgia, Islandya, Kanada, Nowa Gwinea, wykazały na szerokiej przestrzeni ślady pobytu ludów zamieszkujących ziemię w czasach przedhistorycznych.

Zabytki zaginionych światów kręślą wymownie zamarte życie. Stara Helwecya opowiada swe dzieje z głębi przejrzystych jezior, w których tkwią pale, powbijane równolegle od siebie lub w nieładzie, czczerniałe belki, dachy z trzciny i słomy plecione, glazy służące za ogniska, łoża z pęków mchu złożone, broń krzemieniana, naczynia przeróżnych kształtów. Myśl, w odległość może kilku tysięcy wieków wnikać, z tych szczątków składa świat zapadły dziwnego ustroju; ziemia w nim bowiem przedstawia się pusta, lasy milczące, a na zwierciadlanej jezior tafli, kilkaset chat na palach rozpartych wre życiem, a obok nich suną łodzie pełne dzielnego ludu. Na czterdziestu tysiącach pali spoczywały niekiedy miasta, z placami, ulicami wyłożonemi drzewem i odpowiednią liczbą czółen lub tratw, zapewniających dostateczną komunikacyą z lądem. Jakiżże to cierpliwości i siły potrzeba było tym niezmordowanym robotnikom, dla przysposobienia narzędzi, ukształtowania i wyostrzenia krzemienia, wypolerowania kryształu górnego, niepospolitej, jak wiadomo, twardości, ścięcia za pomocą tych narzędzi słabych i prostych, drzewa, obróbenia go równie jak głazów i wzniesienia owych miast rozległych! Praca to olbrzymów; mityczne tytany zaledwieby jej podolały.

Topór gra ważną rolę w przemyśle pierwotnym; znajduje się obficie w podziemnych grotach, zarówno jak w głębi jezior, i to nie tylko w Szwajcarii, ale we Włoszech, Danii, Francyi, Ameryce, Azji i na Jawie. Kształt jego różny. Szwajcarskie topory są znacznie mniejsze od skandynawskich; każdy wojownik zresztą, stosownie do twórczości swjej wyobraźni i potrzeb miejscowych, nadawał broni taką formę, jaka mu wydawała się najlepszą do obrony. Strzały z krzemienia, opatrzone w drugim końcu długą trzcina, napo-

tykane są nie tylko we Francyi, Anglii, Skandynawii, ale i na brzegach Missisipi. W jeziorach Szwajcarii znajdują się jeszcze kamynki kańczasto obrobione, co dowodzi, że proca ludom pierwotnym była znana; używały one prócz tego jako pocisków kul z węgla i gliny formowanych, które rozpalając do czerwoności, rzucano na chaty nieprzyjaciół i burzono tym sposobem całe osady.

Brak zupełny ziarn zbożowych we wzgórzach skorupianych Danii przekonywa, że dawni mieszkańcy tego kraju nie mieli żadnego wyobrażenia o rolnictwie. Pszenica, jęczmień, owies znalezione w mule jezior Szwajcarii, z kilku powrozami ze lnu i konopi kręconymi, dają nam wprost przeciwne pojęcie o ludzie pierwotnym Helwecyi; narzędzi jednak rolnych jakich używał, nie znamy.

Plody stron dalekich, bursztyn Bałtyku, cyna kornwalijska, znalezione śród szczątków miast nadwodnych, są świadectwem zamian handlowych z ludami żegludze oddanymi.

Pomiędzy szczątkami zwierzęcymi jezior szwajcarskich, znaleziono jedną tylko kość zająca; ludy więc na wodach osiadłe nie żywiły się nim wcale. Człowiek pierwotny piekł mięso na pokarm przeznaczony; popiół, węgiel, kości zwęglone, dobywane ze skorupianych stosów duńskich i ze szczątków podziemia Aurignac, o jakich mówiliśmy wyżej, tego dowodzą; kilka jednak grot zawierających resztki pokarmów, bez śladu na nich ognia, pozwala przypuszczać, że niektóre ludy żywić się mogły mięsem surowym, jak to ma miejsce dziś jeszcze u Samojedów i Abisyńczyków. Ludy pierwotne prawdopodobnie znały także sztukę wyrabiania napojów upajających. Wniosek ten popiera ogromna ilość jarzębiny, nagromadzonej w głębi jeziora Timon, która zapewne służyła do otrzymywania rozcieków kwaśnych lub fermentowanych.

W czasach przedhistorycznych grzebano umarłych, podziemia przyjmowały zwłoki w postawie skulonej, w kuczki zgietej, z brodą opartą o kolana, z rękoma zbliżonemi do głowy i złożonemi na piersi, na podobieństwo płodu w żywocie. Czyżby fakt ten wskazywał na związek idei filozoficznych?

Badania geologiczne, snując kartę dziejową pierwotnych pokoleń, z pomników jakie przechowała ziemia, w miejsce fantastycznych legend, dają obraz niewykończony może, lecz bardzo do prawdy zbliżony, pozwalający jaśniej czytać w przeszłości.

Kilka czaszek ludzkich niezaprzeczonej starożytności, znalezionych w podziemiach Engis i Neanderthal, zbliżają się budową do czaszek dzikich pokoleń nam współczesnych. Według studyów nad niemi sławnego profesora Huxley, środkują one między czaszką dzikich mieszkańców Australii, a małpy gorylla. Podobieństwa te uderzają tem więcej, że topór kamienny jest dziś bronią żyjących w stanie natury ludów Oceanii, jak był niegdyś plemion pierwotnych; ci użytkują z kości kanguru i kazoara, jak tamci z kości danieli i byka pierwotnego; Australczyk na koniec gromadzi skorupy mięczaków, służących mu za pożywienie, w stosy podobne duńskim.

Analogie powyższe mają bezpośrednią łączność z nowymi teoryami, tyczącymi się pochodzenia rodu ludzkiego. Starożytne warstwy skorupy ziemskiej, przedstawiają postęp nieustanny w kształtach organicznych, jak gdyby siła twórcza dojsz usiłowała do coraz doskonalszych typów w systematycznym szeregu przeobrażeń. Czy każdy typ, w biegu wieków, nie ulegał kolejno wyższego stopnia przekształceniom? czy każdy gatunek nowoprzybywający ziemi, nie był tylko odmianą poprzedzającego? Brak łączników w tym kolosalnym łańcuchu stworzeń, nie może kwestyi usuwać, dowodzi bowiem tylko, że tych ogniw zaginionych nie znamy. Vogt i niektórzy uczeni niemieccy nie wahają się zaliczać człowieka do kategorii owych przekształcających się jestestw, dając mu za prototyp olbrzymie małpy starego ładu, dziś znikłe z powierzchni ziemi. Nie uważając nas zresztą za ostatni szczebel organizacyi, przypuszczają, że z kolei możemy ustąpić miejsca tworom jeszcze doskonalszym.

Są to zbyt śmiałe hipotezy filozoficzne, i zgodzić się trzeba z Bakonem, że skrzydła wyobraźni potrzebują niekiedy otowiu. Postęp antropologii odsłonił nam przeszłość i określił wyraźniej stanowisko człowieka wśród natury, opierając się na danych pewnych, a unikając złudzeń metafizycznych.

(Dokończenie nastąpi).

Słowiki Jagielly.

(Podanie gminne).

W rozległej płaszczynie, gdzie białą się sioła
Halickiej krainy lasami zastanęj,
A cudnie uroczej jak spojrzysz dokoła,
Falami lnu, zboża by morzem wezbranęj,
Jest miasto niewielkie, jak serce trosk smutkiem
Szańcami ściśnione — nazywa się *Gródkiem*.

Od Gródka niedługi gościniec do Lwowa;
Do zamku Lwa księcia, co w gruzach dziś leży,
Trzy mile i czwartą zaledwo połowa.
Gdy trwoga groziła halickiej macierzy,
To z Gródka do Lwowa w sto minut po błoniu
Tchem jednym zaleciał posłaniec na koniu.

Od strony zachodu rozpostarł się duży
Staw, mówią bezdenny, o mili w obwodzie,
Co z niebem jest w znowie, to złości się, chmurzy,
A w łonie swém kryje pamiątki o grodzie,
Pamięta zamczysko, jak stało, ranęło,
I że w niem dni skończył *Władysław Jagiello*.

I mówią starcowie z swych dziadów podania,
Ze corok dnia tego z najdalszych stron kraju
Zlatują słowiki, by pamięć skonanina
Nad brzegiem jeziora, nad zamkiem i w gaju
Uświęcić, uwiecznić pod starém tym drzewem,
Gdzie siedział Jagiello i poił się śpiewem.

Lecz biada śmiałkowi, co w nocnej tej dobie,
Gdy śpiwna ta tłuszcza hymn żalu wywodzi,
Ciekawie się zbliży przysłuchać żalobie,...
Niech mija brzeg stawu i w ogród nie wchodzi,
Bo tutaj już wielu snem wiecznym usnęło;
Tak usnął w tym śpiewie *Władysław Jagiello*.

Pamiętne nieszczęście, lat temu już wiele,
Słowiki Jagielly, jak prawią mieszkańce,
Zrządziły swym śpiewem w majową niedzielę
Na parze małżonków. Gdzie ciągną się szanice
Od stawu do fosy, mieszkała dziewczyna
Słynąca z piękności, nadobna Halina.

W kościele i w tańcu w rówieńnic swych gronie
Halina urodą i wzrostem powabna,
Jak lilia nad kwiaty wznosiła swe skronie.
Włos czarny i oczy, nad niemi jedwabna
Brew, istny myślenia tronu duszy, tak wzniosły
Jak miłość i wiara, co w niebo ją niosły.

A był też i młodzian, co mieszkał za wodą
I łódką przypłynął w poranek niedzielny;
Lecz myśli go inne do miasta dziś wiodą,
On przybył do lubej na obrzęd weselny.
Więc łódkę uwiązał na brzegu wśród trzeiny,
Sam szybko podążył ku chatce Haliny.

A w domku już gwaro i huczno, weselo;
Skrzypkowie z druchnami gdy Stacha zoczyli,
W podwórzu go wiram porwali w swe koło
I do drzwi się domku nawaleł wtłoczyli.
Tam w matki objęciu swe żale dziewicze
Halina głosiła i kryła oblicze.

I wkrótce przed skromnym ołtarzem w kościele,
Po świetnym ostatnim majowym nieszporze,
Drużyna weselna w korale i ziele
I wstęgi przybrana, ukłękła w pokorze;
A potem ksiądz pleban Stachowi i Halce
Świecone pierścionki powkładał na palce.

A ztamtąd pod wieczór, gdy słońce ogniste
W jezioro zapadło, a księżyc z za lasu
Oblicze czerwone nad niebo wznosił mgliste,
Już w domku Haliny wśród wrzawy, hałasu
Tak głośny dźwięk płynął weselnej muzyki,
Że zgłuszył od stawu Jagielly słowiki.

Lecz coraz to słabiej od domku na szanicy
Weselnej muzyki już dźwięki płynęły,
Bo słysząc już było i w gwarze i w tańcu
Głośniejsze śpiewanie słowików Jagielly.
Więc rzecze do lubej swój Stach pokryjomu:
„Halino, kochanie! już jedźmy do domu.”

I wyszli ukradkiem, minęli podwórze,
Skręcili wprost stawu, gdzie ogród zamkowy;
Tam łódka się chwiała u brzegu na sznurze,
A kwiat ją popruszył z ogrodu majowy.
Więc w łódkę wskoczyli; Stach chwycił trzon
A fala ich hyzo od brzegu uniosła. [wiosła,

„Czy słyszysz, Stach rzecze, Halino, w ogrodzie
Słowików tak głośne, niezwykle kwilenie,
Jak w niebo się wzbija i płynie po wodzie?
Popłyniem tamtędy, gdzie grube te cienie
Od strony tych gruzów starego zamczyska,
Spoczniemy, by śpiewu posłuchać tam zblizka.”

„Och, drogi mój Stachu, Halino odpowie,
Ja lubię w noc jasną posłuchać słowika,
Lecz dzisiaj, ja nie wiem, tak szumi w mój głowie,
I trwoga mię jakaś grobowa przenika,
A właśnie zła wróżba, bo cudnej urody
Dwie gwiazdki tak hyzo zleciały do wody!...”

„Więc wróćmy!... o wróćmy!... Patrz, niebo się chmu-
I księżyc niestałym już blaskiem przyswieca, [rzy
A woda się wzdyma, — ja lękam się burzy
I jakiś chłód mroźny owionął me lica.
Ha! biada mi! biada! — zawoła — patrz, z głowy
Wiatr zerwał mi ślubny mój wieniec mirtowy!...”

„Uspokój się, droga!... nie spotka nas zguba,
Wypłyniem bezpiecznie, lecz oddał myśl trwogi;
Toż w ciemną noc nieraz, pamiętasz o luba,
Śród burzy i grzmotów dążyłem w twe progi.
Zaufaj mi Halko, ja z moim tem wiosłem
W tej łódce na wodzie z dziecięcia urosłem.

„Dziś właśnie rok temu, gdy wracał od ciebie,
Tak samo w noc czarną nad wzdętą wód falą
Śród ognia błyskawie grzmot ryczał na niebie,
Że zdało się ziemia i niebo się wała;
A burza tak wyła, że m pośród jej ryków
Nie słyszał śpiewania Jagielly słowików.”

„Jagielly słowików!... więc dzisiaj?... zawoła
Halina w rozpacz i spojrz ku niebu;
O ratuj mię, Stachu!... śmierć widzę dokoła!...
W tym śpiewie ja słyszę dzwon mego pogrzebu!...
Pamiętam, co mówił ów starzec z Podgaja
O śpiewie słowików w ostatnim dniu maja!...”

Stach zadrżał, zrozumiał przecucie Haliny,
Pocieszał i koł jej trwogę napróżno;
Chciał wrócić, lecz płynął na środek głębiny,
Pasował się z falą — lecz było zapóźno.
A gdy ją chciał podnieść, schyliwszy się do niej,
Wypadło mu wiosło, ostatnia broń, z dłoni.

Więc stanął jak wryty, krew ścięła się w żyłach,
Zalał w milczeniu bezbronnie już dłonie,
Ratunku nie widział we własnych już siłach,
Cmentarzem dlań były straszliwe wód tonie.
Wtém nagle mignęła jak śmierć błyskawica,
W niej ujrzał swęj Halki ostatni raz lica.

Nad głową noc czarna i burza zawyła,
Grzmot zgłuszył śpiewanie słowików w ogrodzie,
A ciemność grobowa jezioro okryła;
Jęk tylko się rozległ dwóch głosów po wodzie
I odbił się głucho, aż skonał pod drzewem,
Gdzie siedział Jagiello i poił się śpiewem.

A zrana, gdy burza ucichła i fala,
I słońce nad modrém jeziorem się wzniosło,
Ujrano dwa trupy, nad brzegiem, a zdala,
I łódkę samotną, a obok niej wiosło.
I mówią — rzecz dziwna — o słońca już wschodzie
Słowiki Jagielly umilkły w ogrodzie.

Lucjan z Gródka Falkiewicz.

Przegląd teatralny.

Teatr wielki.—Syn Giboyer'a,—komedia w 5 aktach Emila Augier'a.

Komedia francuzka, od czasu gdy nieśmiertelny
jój twórca Molier umarł na scenie, jak bohater na
polu chwały,—mięwa niezgorszych tylko ojczymów;

lecz prawdziwego jój ojca, tego co oblekszy ją w cia-
ło, tchnął w nią i ducha,—nikt dotychczas nie zastą-
pił. Sukcesorowie odziedziczyli wprawdzie olbrzymi
majorat, z którego dochodów żyją; ale czy dlatego
że nie odgadli ostatniego słowa testamentu wielkie-
go założyciela, czy też że sami nie mają potrze-
bnych ku temu przymiotów, dość że fortuny więk-
szyć nie mogą. Późniejsi komedyopisarze, gubiąc
się po różnych ścieżkach zbaczających od szerokiego
Molierowskiego gościńca, wpadali na rozliczne po-
mysły, siląc się zastąpić geniusz nowością, niespo-
dzianką, któraby drastycznie podziałała na nerwy
publiki. Do takich pomysłów należała *komedia płacz-
liwa* (comédie larmoyante), grzesząca już w zasadzie,
ściśle przestrzeganej u starożytnych nawet pisarzy,
bo mieszącą wcale nienaturalnie tragiczność z ko-
micznością. Zamiast spełnić zadanie komedyi przed-
stawieniem wad i zdrożności, wprowadzono do niej
jako główne bóstwo *cnotę*, ze świetną asystencją są-
żnistego morału, i kazano publice iść w jej ślady.
S. p. Molier inaczej tę sprawę pojmował. U niego
morał, jako prawo odwieczne, czy jako rozsądek,
wypowiadają osoby podrzędne w komedii; osoby zaś
główne, odziane od stóp do głowy naganną śmieszno-
ścią, oddziaływają najwyborniej na widza satyryczną re-
fleksją. Widz poznaje w nich własne słabości, uczu-
wając zarazem pewien strach, ażeby się nie wydało
jego uczestnictwo w tych śmiesznościach. Dlatego
na Tartufe'a oburzył się w swoim czasie cały tłum
obludników, zanosząc gorzkie skargi aż do stóp
tronu Ludwika XIV; dlatego kiedy George Dandin
tak smutną odgrywa rolę w obec żony, na licu nie-
jednego z przysłuchujących się małżonków dostrzeż-
byś odbicia uczuć niemal podobnych tym, co wrą
w piersi Dandin'a. Z upływem czasu, z ustaniem we
Francji zasady „równości w obec prawa”, — zdawa-
łoby się że taki Dandin, człowiek z gminu, nie śmiący
ostro skarcić szlacheckich rodziców swęj żony, już
zaginął. Istotnie zaginął w bycie społeczeńskim, ale
nie w komedii. Publiczność francuzka, któraby ni-
gdy nie zezwoliła w rzeczywistém życiu na rasową
pychę, na zachcianki i impertynenecje paniczów —
w komedii i dramacie zachwyca się niemi, wielbi ich ka-
prysy, pożąda ich i pragnie. Słusznie też powiada w tej
mierze jeden ze znakomitych francuzkich krytyków:
„Jest niezawodny sposób oczarowania publiczności.
Weźcie mieszczanina lat pięćdziesięciu, milionera ozdo-
bionego orderem, para Francji, albo takiego który chce
nim zostać, mającego córkę lub syna na wydaniu. Nie-
chaj się rzecz dzieje między r. 1848—50. Temu
kandydatowi politycznemu, temu parweniuszowi-fi-
nansiście, przeciwstawcie albo ubogiego studenta, al-
bo potomka rycerzy krzyżowych, a możecie być pe-
wni olbrzymiego powodzenia. Dowodem tego: „Zięć
pana Poirier, Honor i pieniądze“ i t. d. My do tej
recepty moglibyśmy tu zaraz dodać: dowodem te-
go komedia p. Augier'a p. t. „Syn Giboyer'a; wprzód
jednak potrzeba nam zaznaczyć postępek jaki uczyniła
komedia francuzka najnowszych czasów.

Ma ona kilku dzielnych szermierzy; między nimi
odznaczają się p. Augier a mianowicie p. Sardou.
Nie mogą oni wprawdzie wytłumaczyć jeszcze sekre-
tu, dlaczego postacie Moliera, choć minęła już ich
epoka, ich zewnętrzny, że się tak wyrażę, kostium,
dziś jeszcze drgają pełnią życia, świecąc ciągle jako
niedościgniona modła. Zapewne dlatego, że źródłem
ich jest znajomość rzetelna głębi serca niezmiennie-
go po wszystkie czasy, jest prawda wiecznie trwają-
ca, a nie przemijająca moda, lub chwilowy pogląd
społeczny. Jakkolwiek bądź, p. p. Augier i Sardou,
zajmując dzisiaj znakomite stanowisko w literaturze
jako trafni badacze społeczeństwa, zasłużyli na nie
w tych szczególnie utworach, w których postacie owe
podnieśli do *typowości*, do znaczenia ogólno-humani-
tarnego. Lecz mają oni i takie komedye, które za-
grane raz po za murami Paryża, tracą całkowicie na
swęj wartości, a to z tej najprostszej przyczyny, że
nie są gdzieindziej rozumiane, a przynajmniej tak
cenione, jak w samém ognisku kotłujących się na-
miętności i wydarzeń, których właśnie ostrą byłą sa-
tyrą. W Paryżu, podniesione znaczeniem piękną
satyrą, oplacają się celem jaki osiąga; u nas przy-
pominają cokolwiek tajemnice eleuzyńskie, zrozu-
miały li tylko dla pierwszorzędných adeptów. Nie
jestto porównanie przesadzone, jeżeli zważymy że
utwór dramatyczny powinien przemawiać do mass,
nie idących przysłuchiwać się mu z podręcznikiem
nauk politycznych. Najnieukształceńszy człowiek, stu-

SZKICE I TYPY WARSZAWSKIE.

Rysował F. Kostrzewski.



Przy pompie.

Dorożkarz. Mój panie Antoni, żeby tak nie przymierzając człowiek wypił tyle wody co koń... toby ani zipsnął!
Antoni. Ba!... a żeby tak nie przymierzając koń ożłopał się tyle wódki co asan... toby pewnikiem ani dychnął!

chając granego na scenie nawet takiego Goethowskiego Fausta, choć nie oce- ni wyższego znaczenia głównej postaci, ale pojmie całość zarysowaną przed jego oczami zmysłowo, a zarazem przemawia- jącą do najprostszego umysłu akcją, pełną wydarzeń i uczuć ogólnoludzkich.

Nie można tego powiedzieć o świeżo u nas odegranym utworze p. Augier'a.

To co stanowi węzeł intrygi, najistot- niejszą treść komedii, jakoteż główną autora tendencją: skrócenie obrazu ścię- rających się stronnictw, a zwłaszcza stronnictwa klerykalnego, czyli, jak je autor sam nazywa „legitymistycznego“, z innymi, a mianowicie z demokratycz- nym, — jestże zrozumiałem u nas dla każdego bez wyjątku? We Francji, gdzie ta sztuka wiele znalazła rozgłosu, poobrażała ona stronnictwa, choć nie- tknięte przez autora satyrą, co go na- wet spowodowało do tłumaczenia się, że miał tylko na celu legitymistów, jako ogólny wyraz wszystkich nieuznających zasług przekształceń od r. 1789. Na- wet więc tam nie umiano dokładnie roz- gatunkować stronnictw, — a nam ma- ż się to udać lepiej?

Pomijając jednak ten tak ważny wzgląd, czyniący „Syna Giboyer'a“ niestosownym dla nas, niedającym najmniejszej korzy- ści polskiej publiczności, dla której za- pewne walki parlamentarne, zakulisowe intrygi ultramontańskiego stronnictwa dość obojętną są rzeczą, zastanówmy się czy komedia ta zasługuje na uznanie, ze względu na warunki zasadnicze sztuki, czy ma postacie tak wybitne, iżby się utrwały charakterem swym komicznym czy dramatycznym w umyśle słuchacza.

Główną osobą jest stary Giboyer. Zai- ste, biedny to człowiek! Obdarzony nie- pospolitym talentem pisarskim, szarza talent, zarówno jak osobistą godność, w błocie przedajności i nędzy. Z zasa- dy i przekonania gorący demokratą, prze- daje jednak swe przekonania każdemu co lepiej płaci; bo ma starego ojca, a potem syna, którego kochając nad życie i nad własną godność, wychować chce i wykształcić na zanego człowieka. Jest więc mimowoli *nervis alienis mobile lignum!* Ta jego walka z nędzą, to przecho- wywanie w głębi piersi gorących przekonań, nie obja- wianych jednak nazewnątr, z obawy stracenia nie-

zbędnego kęsa chleba, — jest niezawodnie uniewin- niającą okolicznością w obec ludzkiej litości; — lecz czy ochrania czystość jego zasad? — o co prze- cie panu Augier'owi chodziło; — wątpimy. Syn je- go, zacny młodzieniec, pochopny do idealnego lotu, a więc stanowiący tu stronę dodatnią, nie wiemy dlaczego przy swych wielkich zdolnościach i niepo- szlakowanym charakterze, tak się niskim mieni w obec panny Ferdynandy Maréchal? Obawa aby nie być posądzonym o ubieganie się li za po- siadaniem panny, przeradza się wprawdzie czasem w ław- no zrozumiałą drażliwość, nigdy jednak nie powin- na pozbawiać poczucia osobistej wyższości. Barono- wa Pfeffers, pionierka klerykalnego stronnictwa, przeprowadzająca pod jego osłoną ambitne plany zaślubienia herbu, zdolnego pokryć jej wątpliwe po- chodzenie, snuje w komedii boczną intrygę, ale ją snuje tak niezrozumiale i tak niewyraźnie, jak niewy- rażnym jest jej charakter. Chciałoby się raz wiedzieć, czy ona jest czarnym charakterem — ale nadaremnie; zadobrą jest na czarny charakter, zazłościwą na bia- ły. Pani Maréchal nowym jest dowodem, że dzi- siejsi komedyopisarze francuzcy po większej części dwojako tylko pojmują kobietę zamężną: albo zdra- dzającą wierutnie obowiązki żony i matki, co pomaga bardzo w dramacie do przysposobienia efektywnych kolizyj, (dowodem Héloise Parquet i Le supplice d'une femme); albo przyprawiającą z uśmiechem na ustach i uperfumowaną rączką rogi mężowi, co zno- wu dostarcza komedii treści skandalicznej. Rzad- ko kiedy inaczej pojmują towarzyszkę życia. Pani Maréchal nie zostawia wprawdzie — według słów au- tora — płaszcza młodzieńca w swych rękach; ale pra- gnie, według jakiejś nowiej manieri, malutkiego, pla- tonicznego romansu. Autor nie pozwolił ażeby po- została czystą i nienaganną. Panna Ferdynanda je- dynie ma być taką — no, nie może też być inaczej; ale zato jakże jest sztywną, nudną i bezbarwną, jak niema w niej porywów cechujących kobietę z ser-

cem i rozumem. A pan margrabia d'Au- berive, jestże wyrazistym? Paladyn swego stronnictwa, a łączący się związkami powinowactwa z mieszczaństwem; — pół raka, pół ryby. Czyni to niby jako oj- cieć chrzestny Ferdynandy, to znowu ja- ko człowiek „bez przesądów“. Chaos bez końca! Hrabia d'Outreville, wychowa- nek jezuitów, pozornie nieśmiały, wznoszący oczy do nieba, a w rzeczy samej chytry egoista, dobrze oceniający po- sa- gi i arystokratyczne pochodzenie, jest kreacją starą i oklepaną. Sprawdza się na nim zdanie jednego z pisarzy, że ary- stokracya francuzka, utraciwszy swe pra- wa przewagi w społeczeństwie, nie stra- ciła ich jednak, ani też tak prędko straci na scenie.

Któż więc pozostaje jako typ praw- dziwie komiczny? Jedyny pan Maréchal, pocziwy zubożony dorobkiewicz, który mimo największego nieuctwa i słabego umysłu, pieści się marzeniami sławy. Z łatwością więc werbuje go margrabia d'Auberive pod sztandar swego stron- nictwa, naznaczając go na mówcę, natu- ralnie z mową napisaną przez kogo innego (starego Giboyer'a). Z taką sa- mą łatwością, gdy się zmieniają oko- liczności, przedzierzga się Maréchal w de- mokratycznego mówcę, wmawiając w siebie i otaczających, że był zawsze demokratą. Narysowany dokładnie, jest istotnie komicznym, bo czynnikami ko- micznym w nim próżność, wada zrozu- miała dla wszystkich bez różnicy.

Kółko tych osób spojęne ze sobą in- trygą niezbyt granitowej podstawy. Po- słuchajmy:

Syn Giboyer'a jest sekretarzem u pa- na Maréchal. Posadę tę wyrobił mu margrabia dla zasług ojca i jego zdol- ności, mających posłużyć Maréchal'owi w oratorskiej karierze. Naturalnie rze- czy porządkiem sekretarz musi się w kimś kochać. Kocha się więc w pan- nie Ferdynandzie, zle ta zimno i prawie z pogardą odpowiada na jego miłosne spojrzenia. Dziwi go to i obrusza; aż w pewnym dyalogu panna prawie wręcz mu zarzu- ca, że idzie w ślady swoich poprzedników, którzy za protekcją miłosną pani Maréchal (macochy Fer- dynandy) dochrapali się pięknych posad. Szlachet- ny młodzieniec, oburzony obelgą z jednej, a sztur- mem pani Maréchal z drugiej strony, żąda od jej małżonka natychmiastowego uwolnienia. Lecz Ma- réchal nie chce i nie może się na to zgodzić, bo

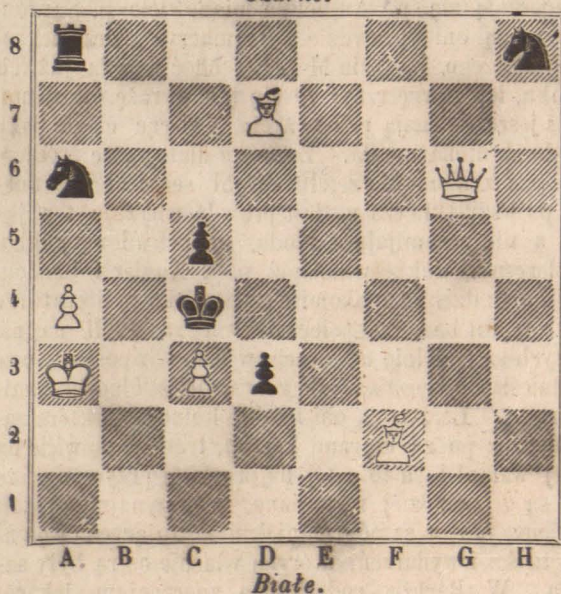
(Ob. dodatek).

Szachy.

ZADANIE CCCXXVI.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 335.

Białe.

Czarne.

- 1) D2—F1 lub C4 . . . 1) H6—H5.
- 2) E2—G2 2) H5—G4 biorą.
- 3) G2—G3 3) G4—F3 biorą.
- 4) G3—G4 † i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 39.
Dym, dziury wdachu, złościwa kobieta, prędko wypędzą z domu.

(Dodatek.)

któż mu będzie *poprawiał* jego mowy? Gdy się jednak rzecz między zakochanymi wyjaśnia, młody sekretarz innemi oczami na świat patrzeć zaczyna; pan Maréchal zaś z podwojonym natężeniem uczy się na pamięć pięknej mowy, którą ma zdruzgotać przeciwnie stronnictwo. Aliści komitet polityczny zmienia nagle front (za podmuchem baronowej) i oddaje pierwszeństwo mówcy innemu, protestantowi, z czego obiecuje sobie tęp silniejszego wrażenia. Uczuwa gorzko zniewagę p. Maréchal, ale nie umie na to poradzić. Na szczęście przybywa Giboyer ojciec i podsuwa zreżymowaną radę, że można odpowiedzieć komitetowi druzgoczącą mową, i że tę mowę napisze siostrzeniec jego Gérard. Píše ją jednak Giboyer sam, a Maréchal tym piorunem rzuconym z trybuny sprawia niesłychane wrażenie. Cieszy się tryumfem, gdy znów zjawia się Giboyer z oświadczeniem, że przybywa po swego siostrzeńca, którego zabiera ze sobą do Ameryki. Do rozpacz przywiedziony kandydat, mający za trzy dni drugą odpowiedzieć mową, nadaremnie błaga o zwłokę, nadaremnie nawet podwyższa pensję sekretarzowi. Giboyer pozostaje nieublagany, bo odjazdem siostrzeńca chce przerwać nieszczęsną jego miłość. Nitka za nitką, spowiada się Giboyer, że kochanką siostrzeńca jest Ferdynanda. Maréchal, mimo że ciągle głosi iż jest bez przesądów, nie chce zrazu ani słyszeć o związku młodych ludzi; dopiero pomyślawszy o wiążącym nad nim mieczu Damoklesa, zezwala. Lecz gdy się dowiaduje od przywołanego sekretarza, że ojcem jego jest Giboyer, (Giboyer'a znał dotychczas pod nazwiskiem pana de Boyergi) które to nazwisko słynne jest z autorstwa paszkwilów — cofa znów zezwolenie, każąc młodzieńcowi wybierać między własnym ojcem a miłością jego córki. Gérard nie waha się ani chwili: — wie on jakie piekło upokorzeń ojciec przecierpiał dla niego, chce więc iść za nim na kraj świata, mimo prośb Giboyer'a, ażeby dlań tej ofiary nie czynił. Niewiedzieć jakby się to skończyło, gdyby nie panna Ferdynanda, która pocałowała młodzińca w czoło, a Giboyer'a w ramię, dowiodła czynem, że go chce uznać za swego drugiego ojca. P. Maréchal znów zezwala z ochotą — ciesząc się że teraz dwóch będzie miał sekretarzy. Kończy się więc małżeństwem — cnota wynagrodzona.

P. Królikowski (Giboyer ojciec) pomagał całą potęgą swego znakomitego talentu do wyjaśnienia charakteru. Oby każdy autor miał takiego tłumacza swych kreacji! Mimika p. Królikowskiego, to materiały do obszernych studyów. W scenach z p. Żółkowskim (Maréchal) zapomniało się że to są osoby rozmawiające na deskach teatru, — a takie złudzenie, to już najwyższy dowód sztuki. W ostatnim akcie p. Żółkowski rozruszał humorem swoim publiczność. P. Tarkiewicz (Giboyer syn) wlał dużo szczerzego zapachu w uczciwe sentencje swjej roli; niechaj tylko uczy się od p. Królikowskiego umiejętnego szafowania głosem, a można już dziś śmiało wróżyć mu zasłużone uznanie. Z młodych artystów p. Szymanowski, pracowitem wystudowaniem charakteru hrab. d'Outreville, dowiódł istotnych zdolności. P. Grzywiński (margr. d'Auberive) sumiennie wywiązał się z zadania. Prosimy tylko pani Figarskiej (pani Maréchal), aby była mniej patetyczną, a więcej zważała na koncówki niektórych rzeczowników. Tak na przykład w salonie baronowej wyraziła się o jakiejś damie, że miała na sobie „atłasowe suknie,“ — coby właściwie znaczyło, że ta dama nosiła kilka naraz atłasowych sukien.

Przy zakończeniu tych kilku uwag, zanotowanych *sine ira et studio*, nie możemy zataić głębokiej tęsknoty za oryginalnymi utworami, ukazującymi się na scenie naszej nieledwie co rok przestępny. Tak jeszcze nisko nie stanęła polska literatura dramatyczna wespół z innymi, iżby nie można się odważyć na przedstawienie kiedy niekiedy oryginalnej komedii lub dramatu. Pracownicy na tej niwie, widząc swe dzieła na scenie, staraliby się poprawić je z błędów nieodzownych dotąd, dopóki sztuki oryginalne odpoczywać będą po kilka lat na półkach bibliotecznych, lub dopóki pojawienie się swoje na horyzoncie czytelniczym jedynie drukowi zawdzięczać muszą. Nie ubliżamy obcym utworom; owszem, z wyborowych sztuk można złożyć bardzo estetyczny repertuar; niechaj tylko z nieprzedstawiania oryginalnych utworów nie sformuje się zwolna to, co Rzymianie zwali: „*praescriptio immemorialis*“.

Ed. Lubowski.

Wspomnienia z powiatu Pińskiego.

Przez

Elizę Orzeszkową.

Czemu świsł wicher naszego wygnaniecy,
Wolę niż nutę słowika miłosną?
Czemu mi lepiej pod borową sosną,
Niż w gajach mirtu albo pomarańczy?

Mój kraj nieżyłny, a jednak, czy wiecie?
Nigdzie się tyle szczęściem nie nasce;
Świat ten szeroki i pięknie na świecie.
Lecz niema ziemi nad moją ziemię!
Syrakonda.

Wspomnienia — wspomnienia — i któż nie ma wspomnień? — Ktokolwiek już przeżył część znaczną ziemskiej wędrówki, dla kogo minęło pierwsze zaranie młodości, ten zrywał kiedyś na drodze swojej niezabudki jasne i składał je uświęcone w sercach głębinach.

W przeróżnych sercach ludzi, przeróżne spoczywają wspomnienia. Jedni snują nici pamiątek z gwar-nych i tłumnych świata okłasków; inni piastują w duszy obraz pierwszej, czystej jak pogodne niebo miłości; są tacy, którym z po za mgły minionych lat błyskają ukochane twarze przyjaciół, i tacy którym zdaleka echo przynosi głosy dziękczyniń i błogosławieństw ludzkich.

Ci którzy lubią wędrować po dalekich krajach szerokiego świata, ileż wspomnień przywożą ze sobą w swoje rodzinne strony. Szafirowe niebo Włoch czarownych i tęskny śpiew gondolierów kołyszących się na falach kryształowych wód; mirtowe gaje południa i wieńcem krajobrazów strojna wstęga Renu; góry szczytami tonące w obłokach i dziewicze puszcze, w których głębi śnieżnymi kielichy Magnolia grandiflora rozkwita, — i ileż to cudnych na długie lata wspomnień! Wszak to cała panorama obrazów o gorących barwach, które na zawsze wyściełają dno duszy.

Mniej świetne i błyszczące, ale równie drogie i młodościom wdziękiem piękne, są wspomnienia tych, którzy nie wychylając się nigdy ze swojej okolicy, albo opuszczając ją na krótko tylko, umiłowali przecież ujrzone obrazy. I pod błędem niebem, bez gór niebotycznych, bez wodospadów wspaniałych, są skarby piękności i bogactwa natury; daleko od miast na całą ziemię głośnie, od tłumów hucznych i lśniących, są ludzie którzy zostawić po sobie mogą niezatartą nigdy pamięć ukochania.

Wszędzie jest piękno, zewsząd można wynieść wspomnienia wyryte widokiem natury i twarzy ludzi zacnych.

A któż z mieszkających na dalszym świecie zna pińskie okolice?

— To koniec świata, mówi przybysz z innych prowincyj, daremnie pytając o wielkie miasta i ludne drogi.

— To wygnanie, dodaje on, mierząc okiem obszary łąk błotnistych i z dumą opowiada mieszkańcom tych szerokich i cichych równin o pięknościach swojej rodzinnej strony.

Pińczuk słucha opowiadań o cudach dalekich, o tym jak gdzieś na świecie błyskawicznym migiem przelatują lokomotywy szybkie, wioząc podróżników roje; jak wielkie miasta błyszczą i szumią; jak świetnie na wzgórzach wołyńskich lśnią pałacyki białe i po kwiecistych litewskich łąkach płyną błękitne bystrych rzek wstęgi, — słucha i podziwia, a drogi mu przecież jego cichy, mglisty zakątek. Ciemne i gęste lasy podniebnym szumem usypiały go w kołobce; w dzieciństwie poznał każdą kępę błotnistą łąki i zliczył wszystkie brzozy, które na tle czarnych dębów białą korą błyskały. Zliczył też wszystkie krzyże sąsiednich wiosek i żalosny śpiew ludu wkraść się do jego serca pierwszą zasłyszaną harmonią.

Jak góral bez podniebnych szczytów traci swobodę oddechu i tęskni za okolicą, która go, niby orla, pod obłoki wysokie wznosiła, — tak mieszkaniec równin zraza się z kawałkiem swojej ziemi rodzinnej, a choć śmieją się z niej i gardzą nią przybysze, ona mu pozostaje drogą piastunką i matką.

Powiat piński, to smętna kraina, bez wód przezroczytych, bez gór, równa, monotonna, jakby ciągle zamglona. Na nieścignionych okiem przestrzeniach rozkładają się pola piaszczyste, gdzie indziej tylko urodzajne, pszeniczne. Po błotnistych łąkach biegną między kępami wązkie pasy grobel, zdala już grożąc kołom podróżnego. Rozległe lasy szumią konarami wysokich dębów i sosen, albo rosną nisko i karłowato. Rzeki nigdzie nie dojrzyysz, chyba jaki kanał kopany, lub wązki, półbłotnisty strumień. Górą zwie się tam każda, by najmniejsza wyniosłość ziemi. Na tych górach, poprostu na małych wzgórkach, najczęściej piaszczystych i karłowatą sośniną porośniętych, kilkanaście lub kilkadziesiąt krzyżów ku niebu wybiega, sięgając ramionami wyżej nad otaczającą roślinność. Umentarze wiejskie, jako najwyższe punkta okolicy, co chwila prawie zatrzymują wzrok podróżnego; rzekłbyś iż nad smętną krainą, gdzie natura senną tylko oddycha życiem, myśl śmierci zawisła i przypomina się nieustannie gesto rozsianymi mogiłnikami. Jesienią strona ta przedstawia się w całej potęgze swoich cech; dęszce zdają się tam padać obficie niż gdzie indziej; szara masa błota pokrywa przestrzeń całą; na groblach podróżni bywają, jakby na morzu, zagrożeni utonięciem, a ku wyratowaniu ich, zamiast kowacy, służą woły, zmuszone do wydzwigania zapadających powozów. Mgły gęste czarnym obłokiem pokrywają lasy, rozstępując się gdzie indziej, jakby umyślnie dla pokazania cmentarnych krzyżów, wznoszących się nad splakaną zielenią sosen.

Wjeżdżającemu w tęskną tę krainę, na serce dziwny spada smutek. Jakaś rzewność nieopisana tchnie z tych szarych przestrzeni, z tych zadumanych cmentarzy; zda się że lasy smutniej szumią, i niebo samo bledsze niż gdzie indziej.

A nie braknie przecież uroku w tym smutku, w tym jakby sennym zadumaniu natury. Wśród nich tęsknota cicha owiwa serce człowieka, a ucho mimowoli wsłuchuje się w szept leśnego szumu.

Przestrzeń pińskie, to obszary księstw udzielnych. Po łąkach kępiastych, między szerokimi polami, pod cieniem gęstych lasów, drogi biegną daleko — daleko, jakby nigdy skończyć się nie miały, przerywając liczne wsie i wiodąc do dworów, które białe i szare, bogatsze i uboższe, wychylają się z pod lasów.

Po wioskach lud, jakby się zapatrzył na otaczającą naturę, posepnie jakoś i sennie wygląda. Litewski i wołyński chłop dzielny się wydaje obok Pińczuka, który z twarzą półokrytą szorstkimi włosami, w grubej, niezgrabnej siemiedze i w plecionej obowiu, ciężko stąpa po błotnistej swojej ziemi. Odległość dróg ludnych a handlowych i wielkich miast, będących dotąd jedyną szkołą naszego wiejskiego ludu, otoczyła chłopów grubszym niż gdzie indziej cieniem. Niekiedy zda się że nie wiedzą oni całkiem o swojej człowieczej godności. Niedawno przecie podróżny jakiś, zapytał spotkanego włościanina właściwem tamtym stronom narzeczem:

— Zkul czołownik? (Zkąd jesteś, człowieku?)

— Ja ne czołownik, ja Pynczuk, odrzekł zapytany.

Dyalekt pińskiego ludu różni się wielce od narzecza którym mówią nadniemeńscy włościanie; zbliża się zato do wołyńskiej, a nawet nieraz do ukraińskiej mowy chłopów. Twardy język Pińczuka zgadza się dobrze z jego ciemną, orzuconą włosami twarzą i z ciężką, jakby z bryły kamienia wykutą postacią.

Smutek i żalność jękliwa są ogólną cechą litewskich ludowych pieśni; ale tu, bardziej niż gdzie indziej, pieśni te rozlewają się samymi jęczącymi tonami.

We wszystkich śpiewach tamecznych nie zasłyszysz ani jednej nuty wesołej, ani jednego skoczego nie pochwyisz drgnienia. Jakby jęcząc i skarżąc się boleśnie, z przeciągłym i żalosnym śpiewem chłopci idą i do pracy, i na wesele, i na hulankę do karczmy, i na dożynki. Latem, gdy roboty dzienna skończona i słońce po za wieńcem lasów otaczających widokrąg znikać zaczyna, — po szerokich polach płyną głośnie a przeciągłe, jednostajne, drzące niewypowiedzianą boleścią i tęsknotą nuty pieśni ludowych. Przez łąki i groble liczne mi gromadami idą młodyce (młode mężatki) i dziewczęta. Pierwszym wielkie płachty białego płótna owijają głowy i osłaniają czoła; u drugich włosy strojne w czerwone maki, rozplecione, spływają niz-

ko z pod białych chusteczek, lub warkoczem zdobnym kraśną tasiemką otaczają ogorzałe czoła. Idą i prowadzą ze sobą głośne rozmowy, a sierpy błyskają w ich rękach pod ostatnim promieniem zachodzącego słońca. Skończyła się grobla, gromada zwolna przechodzi gładką drogę pod drzewami pańskiego ogrodu; umilkł rozmów, młodyce głośno i przeciągle śpiwają, a pieśń ich jakby do niebios przedrzeć się chciała, taka wysoko żałosna, w coraz smutniejszych spadkach falami po równinach płynie, aż zwolna ucichać zaczyna, coraz, coraz słabnie, rozwięwa się i milknie całkiem u wniścia w wioskowe wrota.

Słońce zaszło i umilkł śpiew wiejskich kobiet; natomiast w oddali, z obszarów żętych już pól, biegną odgłosy pastuszej surmy. Jak smutny śpiew, tak smutna przygrywka poleskiego ludu. Gdzieindziej, nad Niemnem na przykład, usłyszysz także ton pastuszych trąbek, ale weselsze one jakoś i raźniejsze od surmy pińskiej. Surowe i poważne akordy surm wybiegają z pod lasów o zmroku, jak wywoływania groźne, czasem jak męzka i poważna skarga,—i raz po razie, w tysiącnym powtórzeniu, akordy te jednostajne, drżące, głęboko basowe idą po sobie, nie lecą ku niebu, ale owszem zdają się spadać i toczyć po ziemi. Niekiedy milkną i po chwili nanowo odzywają się w kilku naraz stronach, wszystkie jednostajne, coraz tylko bardziej głębokie, posępne, basowe. Noc ujmuje cieniem szerokie przestrzenie, na niebie gwiazdy błyskają, na ziemi wszystkie głosy milkną, a wśród cienia i ciszy nocy długo drżą pod lasami poważne nawoływania pastuszych surm.

I niedziw że lud piński smutnie gra i śpiewa; sama otaczająca natura nie może mieszkańców tutajszych natchnąć weselem. Błada i zamglona, równa i jednostajna, nie raduje wzroku różnaitością barw i obrazów, nie unosi myśli ludzkich na bystrych falach szerokich rzek. A natura ta zewnętrzna, to wielowładna pani nierozbudzonego jeszcze całkiem ludzkiego ducha; kształci go ona na swój obraz, niby snycerz modeluje według myśli swojej, i nim ten duch człowieczy dojdzie do silnego samopoznania, nim nabierze dosyć mocy aby własną siłą krzepić się i wzrastać.

Takie świtanie jasne, które u tutejszego ludu nie rozświeciło jeszcze głębin duchowych, zstąpiło już ponad ciche dwory. Chociaż daleki od nich gwar miast wielkich i ze świata mrowiącego się przemysłnemi tłumami odległe tylko echa dochodzą do nich,—toć przecie w tych owianych szumem lasów ścianach przybysz napotka często blask żywego światła, gościnność uprzejmą i pocziwe dłonie, z gorącym podawane uściskiem.

Gdy natura odmówiła mieszkańcom Pińszczyzny malowniczych widoków, jakie rozsiała hojnie w innych stronach ziemi, dwory tameczne otoczyły się pięknymi ogrodami, ustroiły w szerokie aleje odwiecznych drzew i w grupy włoskich topoli, które z pod nieba panując okolicy, stoją jakby wyniosli stróże ponad dachami mieszkań ludzkich.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Ze świata muzycznego.

Koncert na rodzinę s. p. Bodurkiewicza.

Oprócz koncertu studentów Szkoły głównej, o którym tu tylko wspominamy, bez chęci sądzienia i przesądzania młodych talentów, żaden inny nie zgromadził w tych czasach uprzywilejowanej publiki. Nazywamy ją uprzywilejowaną, bo doprawdy, jest taką rzeczywiście, gdy na każdą muzykę w jednej prawie zbiera się ilość, jednemi wszystkimi darzy oklaskami i... jednakowo małym się kontentuje.

Czy i na muzykę p. Bilsego uprzywilejowani przychodzą słuchacze?... Niekoniecznie... Dobrze to i korzystne, temu przeczyć nie można;—ale dlaczegoż np. w obec utworów najznakomitszych mistrzów, z którymi zaznajamiam nas p. Bilse, słuchacze ci są poważni jak znawcy, jak wielbienie rzeczywistych tylko piękności,—kiedy nazajutrz na koncercie, nie wymagając wiele, za lada fraszkę niosą huczny i przeciągły oklask?...

Mielizby rodzinni nasi artyści być skazanymi na wieczną pobraźliwość?... Czy doprawdy nie stać ich

już na nic takiego, co by się nazywać mogło pięknym i wielkim? Zdawałoby się, że wsłuchiwanie się w genialne utwory, jakimi walczy orkiestra p. Bilsego ze smakiem publiczności, powinno smak ten wykształcić choćby cokolwiek, choćby o tyle więcej, by powściągnąć ręce od oklasków tam, gdzie ich niepotrzeba. Takim tylko sposobem zajaśniałaby prawdziwa zasługa, a co w obec sztuki daleko jest ważniejszą, i prawdziwe piękno... Inaczej—nie mielibyśmy za złe temu i owemu, że nam poniesie na pokaz to czego oglądać niewarto, a słuchać... niezbyt przyjemnie. To nasza własna wina, i zasługujemy sobie na lekceważenie.

Nie stosując słów powyższych do żadnej danej chwili, wypowiadamy je jako uwagę ogólną. Trzebaż przecież zaznaczyć objawy usposobienia publiczności, jeżeli artykuły nasze mają być czémś w rodzaju kroniki,—a o artystach samych coż więcej powiedzieć można jak to, co się rzekło dawniej, gdy się obecnie ma do czynienia z temi samymi czynnikami co do osób, co do zdolności i chęci?...

Koncert na rodzinę s. p. Bodurkiewicza, jest nowym tego dowodem... Publiczność się licznie zgromadziła, i dzięki jej za to,—a zgromadziła się mimo to, że program niezupełnie był świeżym... Arya już znana, kwartet, któryśmy wszyscy kilkakrotnie słyszeli,—walczyk, bez któregośmy się obesli, uwertura, którą z pamięci powtórzymy... otóż i większa część koncertu. Pomówmy więc tylko o rzeczach nowych...

P. Kania odegrał koncert Beethovena... Rzecz cudna i wspaniała, szkoda tylko, że się do niej przypłatała dość niezręcznie podrobiona kadencja. Co ona miała znaczyć?... Może chwilę pustoty na tle poważnego życia, może szyderstwo w obec potęgi?... Było to coś obcego najzupełniej i przyszło nie w porę... Beethovena wspomagać nie potrzeba. Dosyć go było odegrać z siłą dostateczną do wykonania tego utworu,—ze zrozumieniem... P. Kania pod tym ostatnim względem niezupełnie wywiązał się z zadania, ale w ogólności gra jego była piękna i pewna.

Mniej pewną była gra pp. Jaworskiego i Noskowskiego (symfonia Allarda).—Poginęły tam najefektowniejsze miejsca, poginęły oktawy i pasaże... P. Jaworski szczególnie w tych trudnościach radził sobie jak mógł, ale nie poradził... Symfonia go przemogła, choć sama straciła na tym. P. Noskowski podreparował ją w cudnym solo, odegranym jasno i ze zrozumieniem, ale ton jego nie był tak silny jak niegdyś, a i mechanizm cokolwiek zaniedbany.

Tyle tylko na dzisiaj, boć powtarzać się nie chcemy. Należałoby jeszcze wspomnieć o oklaskach zdobytych przez p. Dowiakowską, najzupełniej zasłużonych,—przez pannę Graetz i p. Filleborna.

Oklask!... Czarująca to rzecz, ale smutna przytém... Zapłata zasługi zbyt mała, a jeśli zasługi niema, zbyt wielka.

Królikowski, który deklamował na tym koncercie Farysa Balińskiego, wypowiedział to jasno. Sądziłmy że publiczność, wzięwszy do serca słowa poety, zapłaci artyście milczeniem, milczeniem głębokim, mówiąc, potężnym... Takiej zapłaty żądał poeta za pieśń natchnioną, na taką zasłużył i artysta...

Ale stało się inaczej... Widocznie umiemy tylko klaskać.

PIĘRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“ (*)

przez

Władysława S.

III.

Przyjazd do miasteczka.

Byłoby zbyt cieżko opisywać Pilicę dla każdego, kto zna fizyognomię polskich miasteczek, tylekroć zresztą zdolniejszymi od mojego piórami opisywaną. Pilica, jak każde inne miasteczko nasze, zaludniona po większej części przez Żydów, w twardą jesień 185... roku, kiedy wjeżdżał do niej Ludwik Groński,

(*) Dwutomowa ta powieść, z której kartki powyższe wyjęliśmy, wyjdzie wkrótce z druku we Lwowie. (Przyp. redak.)

przedstawiała tę samą charakterystykę błota, brudu i ubóstwa, jaką w tej porze oczom innych podróżnych przedstawiać mogły Tarczyn, Grójec lub Kałuszyn.

Wjazd uroczysty naszego bohatera, skromnym wózkiem włościańskim, do grodu, którego pierwszy warunek dobrobytu, zdrowie, miało być powierzone jego oficjalnej pieczy i świeżo nabytej wiedzy, miał miejsce w sobotę, to jest w jedyny dzień tygodnia, kiedy miasteczka nasze, dość zazwyczaj ruchliwe i gwarne, przybierają postawę cichą, spokojną i wydają się jakby pustkowiem, z powodu moźszowego święta, które przeważna większość ludności ciszą i zupełną bezczynnością skrupulatnie obchodzi.

Ta okoliczność oddziaływała dobrze na usposobienie naszego bohatera.

—W takim skromnym zacisku, mówił do siebie, pośród ludzi których życie tak wybitnie różnem jest od gwaru i wiru miast wielkich, podwójna praca jaką mam przed sobą będzie i łatwą, i płodną, i przyjemną zarazem. W zamęcie tysiąca krzyżujących się interesów, które stanowią codzienne życie stolic, skromna praca jednostek ginących musi nieraz bezowocnie. Zaledwie żdźbło drobne siewu pracownika wychyli się na świat Boży, depcze je tłum przechodzący i siew na nowo zaczynać potrzeba. Tu będzie wcale inaczej. Takiego właśnie zakątka pragnąłem.

Powie kto pewnie, że nasz bohater był zabardzo sielankowym marzycielem, że jego różane przewidzenia spotkają w rzeczywistości zawód srogi i bolesny, że życie mało-miejskie ma swoje złe strony, które je z życiem stolic równoważą. Być może! Niemniej jednak jest prawdą, że największa część szczęścia i dobra, jakiego doznajemy w tym życiu, nie leży w otoczeniu naszym, lecz w nas samych. Usposobienie naszego bohatera było właśnie dowodem, że ten zasób niósł on w swęj piersi niepokalany i nietknięty, a kto z tego rodzaju talizmanem czy skarbem wchodzi gdziekolwiek w czystą myśl, dla tego warunki bytu są zawsze lepsze niż dla innych, którzy żywiołów swego szczęścia wyłącznie po za sobą szukają. Kto temu nie zaprzeczy, ten musi przyznać zarazem, że marzenia Ludwika, pomimo całej swojej niepraktyczności, spełnić się mogły w pewnej części i nie posadzi nas o przesadę gdy powiemy, że młody medyk długo jeszcze potem nie pomyślał o wyjściu na szerszą widownię, znajdując w małej żydowskiej mieścinie tyle szczęścia i zadowolenia, ile go starczyć powinno dla każdego, kto jak on był przekonany, że pełnia szczęścia nie na tej ziemi nas czeka.

Nie mając zamówionego mieszkania, ani nikogo znajomego w mieście, Ludwik zajechał do karczmy, której siwobrody gospodarz patrzył na niego przez chwilę, mierzając go od stóp do głowy, a następnie zapytał:

—Wielmożny pan z Warszawy?

—Z Warszawy i niebardzo wielmożny,—odrzekł z uśmiechem Ludwik.

—I pan jedzie dalej, czy tu zostanie? — pytał znowu karczmarz.

—Tu zostanę.

—Nu, to pan dobrodziej pewno pan doktor Groński.

—Zgadliście, panie arendarzu, odpowiedział młody medyk; widać ztąd, że mnie tu czekali. Musi być dużo chorych w mieście.

—Z przeproszeniem pana doktora, odrzekł arendarz, żeby tylko tyle było pijaków co chorych, to ja bym dawno zbankrutował. Pan doktor nie będzie tu mieć wielki *geszeft*, tu wszyscy zdrowi jak ryby. Tylko syn szlachcica ze Smolenia choruje, ale tam doktory jeden za drugim aż z Krakowa przyjeżdżają. My biedne ludzie, my nie mamy czasu chorować. Stary Maciej ma chrypkę, to napije się wódki i zdrowi; krzywa Magda ma kaszel, to napije się wódki i zdrowa. Jabym się z panem aptekarzem na jego *geszeft* nie pomieniał. Dziś tydzień jak naszego policyanta, tego łysiego Kube... a prawda, wielmożny doktor jego nie zna... bolał ząb. to on poszedł do kowala do Ogrodzieńca, i ten za złotówkę wyrwał mu razem dwa zęby. Ja nie wiem z czego te ludzkie żyją, kiedy oni tak tanio zęby rwą. A to żeby on wszystkie zęby wszystkim mieszczanom pilickim powyrwał, toby jeszcze goły był, a co by sobie ręki naforsował!... Jak kto chce puścić krew, to idzie do cyrulika... Ja nie wiem, ale, z przeproszeniem pana doktora, wielmożny pan nie będzie tu miał wielki interes.

— Nie nie szkodzi, rzekł obojętnie Ludwik, który słuchał z uwagą gawędy arendarza, mimowiednie charakteryzującego z dokładnością niejednego rys małego-miasteczkowego żywota.

— Nu, co to jest? nie nie szkodzi! Wielmożny pan doktor żartuje sobie ze starego Abrama. Nie nie szkodzi!... Jużci kto z czego żyje, to i chce żeby miał zarobek.

— Więc wy sędzicie, panie arendarzu, że ja nie życzę zdrowia mieszczańskim pilickim, ani nikomu w okolicy? zapytał Ludwik.

— No jużci, odrzekł arendarz, to tak jakby ja życzył ludziom, żeby wódki nie pili, albo jakby pan burmistrz życzył, żeby Żydzi nie handlowali kontrabandą, albo pan pocztaliter, żeby kolej wybudowali na Pilicę. Wielmożny pan doktor sam powie, że stary Abram ma rację.

— Nie znacie mnie, mój Abramie, a jak poznać, że tak nie będziecie sądzili, odrzekł Ludwik, oburzony, nieco tępym, że szlachetny zawód który obrał, ludzie, jakkolwiek nieoświeceni, czynią tak dalece interesownym.

Młody medyk nie wiedział, lub nie chciał wierzyć jeszcze, że pod tym względem ludzie słusznie sądzą bardzo często.

Wieczorem Ludwik zaszedł do cukierni, pragnąc poznać przynajmniej w części towarzystwo pilickie.

W cukierniach małomiejskich zgromadza się zazwyczaj wieczorem cała urzędnicza młodzież, zamierzająca w bilardzie; cukiernia więc nie bywa wieczorem pustą, chyba w dniach przyjęć u któregoś ze starszych urzędników, mających córki na wydaniu.

Ludwik zastał w cukierni kilkunastu młodych ludzi, którzy wszyscy znali go już z nazwiska i rysopisu i wiedzieli po co przyjechał. Nie było to bynajmniej trudnym, albowiem w ciągu dwóch godzin wszyscy mieszkańcy miasta, bez najmniejszego wyjątku, byli najdokładniej zawiadomieni o przybyciu, kolorze włosów i gatunku futra doktora.

— Pan doktor Groński, jeżeli się nie mylę, rzekł zbliżając się do Ludwika jeden z młodych ludzi niezajętych bilardem.

— Tak panie, odrzekł Ludwik.

— Pozwól więc pan, że go zaznajomię z młodzieżą pilicką, wśród której masz zamieszkać, mówił zaimprovizowany *cicerone*—a to zaczynając od siebie. Jestem Dominik Wrzawa, urzędnik sądowy.

Ludwik ukłonił się grzecznie, podając rękę nowemu znajomemu.

— Mości panowie, waćpanowie, uciszcie się!—zawołał następnie Dominik wielkim głosem.

Wszyscy obecni spojrzeli na mówiącego; bilardzisci swe kije podnieśli do góry.

— Panowie! rzekł uroczyście Dominik. Z mocy udzielonej mi przed chwilą ustnej plenipotencji, mam zaszczyt przedstawić wam doktora Ludwika Grońskiego.

— Wiwat! odrzeknęli jednogłośnie z niezmiernym hałasem zgromadzeni.

A teraz na was kolej, mówił Dominik. Raz, dwa, trzy!... przychodzić mi tu po jednym.

Jeden z młodzieży zbliżył się na tę komendę.

— Erazm Dumski, przedstawiał Wrzawa, nadzieja justycji cywilnej i kryminalnej, mój kolega wzrostem i stopniem wyższy o dwa cale.

— Doktorze, rzekł kłaniając się Erazm, podaje ci dłoń moją, w której obys nigdy nie miał potrzeby szukać wskazówki, jaką mi zapisać miksturę.

— Następny! zakomenderował Dominik.

Drugi z kolei, bez tużurka, w postawie musztrującego się żołnierza, stanął przed Ludwikiem.

— Józef Kitycki, brzmiało przedstawienie, —filar prześwietnego magistratu i niezrównana w *krajanju matki do rogu* (*) potęga.

— Doktorze, mówił Kitycki, jeżeliś przywiózł sposób leczenia wszystkich chorób, bez zabrania trunksów swym pacjentom, wzniesiemy ci monument na rynku pilickim.

Takim sposobem odbyło się przedstawienie wszystkich, z wyjątkiem jednego, który siadł w kącie przy stoliku i szybko coś pisał ołówkiem.

— Ostatni! zawołał Dominik.

— Zaraz, zaraz, bo nie skończyłem; piszę ode na cześć doktora.

— Jestto nasz pilicki poeta, mówił przedstawia-

jący, człowiek z wrodzonym talentem i wrodzoną antypatią do ortografii, Adaś Skir.

W kilka minut potem Adaś Skir stanął w teatralnej pozie przed Ludwikiem i odczytał wiersz następujący:

Rozradujcie się koledzy!
Oto medyk pełen wiedzy

Przybył pisać swe recepty
Dać wam słabi i kaleki,
Leki, leki, leki!

W dzień go czeka twarda praca,
Bada język, pulsa maca,
Tym wziąć każe soli gorzkiej,
Tym pigułki, a tym proszki,
I gromadzi w obie dłonie
Gronie, gronie, gronie!

A że młody i *niczego*,
Więc czy zajdzie do sędziego,
Do burmistrza, czy kasyera,
Gdy na którą z cór spoziera,
Zaraz płoni cna dziewica
Lica, lica, lica!

W wieczór nawet, po dniu znoju,
Nie skosztuje on spokoju,
Lecz za stół zielony siedzie
I tam giąć z zapałem będzie
Kapłan *boskiej Eskulapy*
Lapy, lapy, lapy! (1)

— Bravo! Eskulapa nieoceniona! zawołał Dominik Wrzawa.

— Medal dla reformatora mitologii, głosował inny.

— Złapałeś się, poeto, krzychał artysta bilardowy Józef Kitycki, i jako hekatombę dla twój bogini Eskulapy zapłacić powinienś sto kieliszków, poczynając od najlepszego likieru, aż do zwyczajnej pomarańczówki, co kto lubi.

— Akceptujemy hekatombę! wołało kilka innych głosów.

Dziewiętnasto-letni poeta pilicki nie stracił jednakże miny.

— Ja się nie wstydzę wcale, jeżeli czego nie umiem, rzekł tonem komiczno-uroczystym, zbliżając się do Ludwika; nie moja wina, jeżeli nie miał sposobności się nauczyć, bo gdybym ją miał, toby nie zawodnie z niej korzystał. Kiepsko ten co więcej umi niż się nauczył. Z tych zasad wychodząc, doktorze, mężu najuczciwszy i najrozsądniejszy ze zgromadzenia, proszę cię

W imię powagi twojego rzemiosła,
Która cię w moim pojęciu podniosła
Nad niejednego pilickiego...

kancelistę, ażebyś raczył mi powiedzieć stanowczo i bez ogródek, czy Eskulapa była w istocie boginią czy leguminą, księżną jakiej bezludnej wyspy, czy też gatunkiem musztardy.

— Nieźle się odciął, przyznał Erazm Dumski.

Ludwik, któremu szczerze i rezolutnie młodego chłopca niezmiernie się podobała, przyjął wezwanie na seryo i opowiedział niezbyt świadomemu mitologii wieszczowi biografią pół-boga swą sztuką.

— Panowie, oto nowa edycja, przejrzana i poprawiona ostatniej strofy.

Wwieczór nawet, po dniu znoju,
Nie skosztuje onspokoju,
Lecz za stół zielony siedzie
I tam giąć z zapałem będzie
Jak warszawskie Eskulapy,
Lapy, lapy, lapy!

— Dobrze, a teraz hekatomba, dopominał się Kitycki.

— Od wyroku prześwietnego magistratu, reprezentowanego tutaj przez pana Kityckiego, odciął się znowu Adaś, apelując do wyższych instancji, których członkowie są tu obecni, a w razie potrzeby za-

nosząc rekurs do szanownego doktora, który zdecydował, że podobna ofiara byłaby szkodliwą, nietyle rozumowi pewnych osób, niemających w tym względzie wiele do stracenia, ile ich zdrowiu, którym jedynie zasługiwać się mogą ludzkości.

— Szatański język, rzekł Dominik Wrzawa.

— Tybys powinien adwokatem zostać, radził Erazm Dumski.

Wyrok zapadł jednogłośnie: hekatomba nie miała miejsca, a Adasiowi przebaczone chętnie jego nieco uszczypliwą wymowę, wszyscy bowiem jak jeden kochali młodego chłopca, mimo jego kolącego niekiedy dowcipu i niezbyt głębokiej znajomości mitologii.

— Dobre chłopcy! mówił do siebie Ludwik wychodząc, a ten młody Adaś ma i charakter i dowcip, i talent może. Poznam go bliżej, a jeśli mnie sympatya nie myli, warto mu będzie dopomódz w nauce, a może i w czem innem jeszcze.

Nazajutrz, w niedzielę, idąc do kościoła, Ludwik wiedział, że tam zobaczy całe towarzystwo pilickie i obywatelstwo z okolic; nie wiedział jednak o tym, że wszystkich oczy zwrócone będą na niego, jako na przybysza, na nowość.

Towarzystwo pilickie... pod tym wyrazem rozumieć należy urzędników z ich rodzinami, bardzo szczupłą liczbę bogatszych mieszczań, oraz dziedziców i dzierżawców z parafii. Wszystkie te dystygowane osoby, stanowiące świat wielkiego małego miasteczka, zajmowały w kościele miejsca uprzywilejowane w presbiterium. Arystokracja małomiejsteczka kowa dzieliła się skrupulatnie na koterye. Koterya urzędnicza mieściła się oddzielnie od obywatelskiej, w której znów po miejscu-byś rozpoznał gdzie są dziedzice i dziedziczki, a gdzie dzierżawcy i dzierżawczynie, nieraz od dziedziców bogatsi. Niewielka gromadka patrycyuszów mieszczaństwa, różna od innych powierzchownością, manierami i ubiorem z czasów przeddziesięcioletniej mody, mieściła się skromnie na uboczu.

Modne, niemodne, wszystko to było strojne i sute, co aż ha! Aksamitne kapelusze dziedziczek, tę dopiero jesieni sprowadzone... z Częstochowy myślicie?... gdzie tam, aż z Krakowa!... ich szeleszczące suknie z prawdziwych zagranicznych, przemycanych materij, kosztowne futra przewiezione przez granicę przez szczęśliwych wracających z *wojażu* sąsiadów,—wszystko to starało się napróżno zaćmić swym blaskiem i zgłuszyć szelestem przepych i wystawność stroju pani podsejdkowej i pani burmistrzowej nawet.

Do tych cudów przemysłu, przemycanego jako zwyczajna kontrabanda, lub jako rzeczy pasażerskie, błogosławiona przyroda krakowskiej okolicy inne dołączała powaby, rozlewając szczydłe swój urok na zdrowych i wesółych obliczach rumianego wieńca dziewic, które ukrywając swe nadobne lica w książkach do nabożeństwa, czasem tylko, z ukradka, w antrakcie westchnień strzelistych do nieba, rzucały okiem na świeżo przybyłego Warszawiaka, mającego stopień i posadę doktora, a więc wszystko co jest potrzebne, aby na akcie ślubnym swój podpis położyć.

Nasz bohater wyszedł zwycięsko z tego przeglądu nadzwyczaj dokładnego, mimo litanij i antyfon, które go pięknym inspektorkom kazały przerywać co chwila; młody medyk był bowiem *niczego*, jak to już Adaś Skir w swój odzie poprzedniego dnia zdecydował, co miało znaczyć, że był przystojny tą prawdziwie męską przystojnością, równie daleką od wylizanej fizyognomii rozpieszczanego salonowego wymoczką, jak od rzeczywistej brzydoty. Obfite, ciemne włosy otaczały czoło jego wysokie i rozumne, układając się mile, lubo bez wyszukania i pretensyi, a oko jego, również ciemne, rzucało dokoła spojrzenia pełne blasku życia i wyrazu. Dodajcie do tego wzrost-dobry, postawę przyjemną, twarz pociągłą i miłą, piękny zarost, nos i usta regularne, a nie będziecie się dziwić, że dziewice pilickie żałowały iż nie posznurowały się mocniej... serduszką ich bowiem swawolne miały nadto miejsca do bicia.

Ludwik nie był bynajmniej tak niedoświadczonym, ażeby nie umiał dostrzedz i chwycić w przelocie tych ukradkowych spojrzeń i piękności pilickich. Ilekroć to miało miejsce, ilekroć jego jasny i pełen mękości wzrok spotkał się z nieśmiałym a ciekawym spojrzeniem którejś z cór urzędniczych lub obywatelskich, tylekroć piękność zapłoniona szybko zwracała swe oczęta na książkę do nabożeństwa, szukając nieraz bezskutecznie afektów seraficznej miłości dla niebiańskiego dziewic oblubieńca. Nie przeszkadzało to

(*) Wyrażenie techniczne w grze bilardowej.

(1) *Giąć lapy*, wyrażenie techniczne w grze w sztos.

jednakże, żeby się okazała zapłonienia wkrótce powrócić nie miała, i to nieraz jeszcze.

Z pomiędzy wszystkich jedna tylko nie używała tych, niekryminalnych zresztą bynajmniej, manewrów instynktowej zalotności, której objawy jednakowe są wszędzie: nad Sekwaną, nad Wisłą, jak i nad Pilicą.

Była to Marynia Dziczówna, córka miejscowego poczthaltera.

Zatopiona w modlitwie, nie odwracała ona oczu od książki do nabożeństwa, w której jednakże nie kryła tak głęboko swęj twarzy, jak to czyniły jej rówieczniczki. Nie domyślając się wcale, że i ona miała prawo należeć do ataku, nie domyślała się zarazem potrzeby tej strategii obłączniczej swych współmieszczanek, w której książki do nabożeństwa tak im wybor- nie za paralelle i przekopy służyły.

Ludwik mógł widzieć ją w profilu i rozkoszować się jej widokiem.

A w istocie było czém karmić spojrzenie, patrząc na ten profil tak regularny, tak anielski, uwieńczony jedwabistemi puklami blond włosów, polyskującego i mieniącego się odcieniami, których w całości zgrabny i elegancy, choć niekosztowny, kapelusik ukryć nie mógł; było czém się zachwycać, patrząc na zarys tego pięknego oka, które niekiedy wznosiło się na ołtarz, to znowu na książkę spadało, bez owego monotonnego poruszania głową, które, mimo swęj nieestetyczności, u większej części modlących się kobiet pierwszy warunek powierzchownej dewocji stanowi. Czoło wysokie, świadczące o inteligencji, noski ani zbyt duży, ani zbyt maleńki, nie zadarty, jak u gryzетки paryskiej, ani pochylony ku brodzie, jak u tych osób, u których ma się z podbródkiem spotkać po utracie zębów, lecz nakreślony z prawdziwie czarującym artyzmem, a nadewszystko wąty ale wyraźny rumieniec, co się błakał po łabędziej białości policzku: — wszystko to razem pochłaniało kontemplacyą młodego eskulapa i najprawdziwszy podziw w nim budziło.

Nie wiedząc tego zupełnie, że i on ze swęj strony był przedmiotem uwagi powszechnej, Ludwik nie mógł spodziewać się, że to jego długie zapatrzenie się w jeden punkt, zwłaszcza w punkt tak jednomyślnie w całej Pilicy przez wszystkich mężczyzn uznany za najpiękniejszy, nie ujdzie baczności niejednego z tych, z którymi wczoraj wieczór w cukierni przepędził, i niejednej z tych, których oczęta nieraz przez jego wzrok spłoszone, próżno teraz, oderwane od książki z modlitwami, okazują do nowego popłochu szukały.

Było tak przez czas dość długi.

Wprzód jednakże nim Ludwik zdołał oderwać oko od tego uroczego obrazka i dalszy ciąg przerwanej modlitwy rozpocząć, Marynia odwróciła głowę. Czemu?... Pewno ukończyła litaniją, albo psalmy pokutne, lub modlitwę o zdrowie i spokój dla ojca; może westchnąć pragnęła do swęj świętej patronki, której obraz był w bocznym ołtarzu; może wreszcie duch przekory i pokusy, nie mogąc niczém inném sprzeciwić się modlitwie z całym zaufaniem dziecięcym zanoszonej do Pana zastępów, nastreczył jej chwilową, niewinną dystrakcyą... Dość że Marynia odwróciła oczy od książki i od ołtarza, zwróciła je na kościół i w stronę Ludwika, i wzrok jej zadumany spotkał jego oczy w nieruchomym po- grążone zachwycie. I dziwna rzecz!... oczy Maryni nie przelewały się bynajmniej tego spojrzenia, nie ukryły się szybko za kartkami książki, lecz długą chwilę spokojnie i poważnie patrzyły w męską twarz Ludwika.

Ludwik korzystał z chwili... patrzył.

Patrzył okiem człowieka i... uwielbiał.

Okiem lekarza nie mógł niewidzieć, i... zazdrzał.

Ujrzana wprost, prześliczna twarzyczka Maryni była jeszcze cudniejszą, jeśli to być mogło, niż w profilu. Zwoje jasnych jej włosów okazały się w całej symetrii i wdzięku: oczy zdały się szczęście jakieś i błogość rozlewać w spojrzeniu; z ust zdawała się płynąć jeszcze czysta, radosa, niedoszeptana przed chwilą modlitwa; całość rysów była anielska... ale ten wąty lecz wyraźny rumieniec, co tyle życia i tyle powabu dodawał jej profilowi, nie istniał wcale na drugim policzku.

Był to więc symptom chorobliwy. Oko młodego lekarza dostrzegło w nim wyraźnie objaw usposobienia do strasznej, niepodobnej zwykle do zwalczania choroby, o którą rozbijały się i rozbijają dotąd wszelkie usiłowania jego sztuki, choroby którą le-

czyć potrzeba w samém usposobieniu do niej, bo już w zarodzie swoim żartuje ona często z najwytrwalszych wysiłków wiedzy ludzkiej.

Młody lekarz padł na kolana i długo, gorąco modlił się do nieba:

— O Boże! miałebyś dopuścić, żeby ten czysty i uroczy anioł był moją pierwszą pacyentką?

IV.

Poczthalterya.

Wychodzący z kościoła nie rozchodzili się spiesźnie do domów, jak to bywa po wielkich miastach. Tu każdemu było niepilno i niedaleko; każdy zresztą rad był pogadać ze znajomymi, to jest z pierwszym kto się nasunął, bo tu wszyscy byli znajomi. Tym sposobem, w miarę ubywania wiernych z domu Bożego, tworzyły się przed kościołem mniej lub więcej liczne gromadki, przypatrujące się wychodzącym i gwarzące wesoło i swobodnie o tém co komu ślina na język przyniosła. Rozumieli się, że tej niedzieli jednym z najpowszechniejszych przedmiotów tych pogadanek był nowoprzybyły doktor.

— Taki młody! albo to zna się na czém, mówiono w jednej grupie.

— Zwyczajnie, do miasteczek przysyłają studentów, żeby na biednych ludziach douczali się na kompletnych rzeźników, odpowiedział jakiś zawzięty nieprzyjaciel medycyny.

W innę grupie gwarzyło kilka mieszczanek.

— Widzieliście tego nowego, Marcinowa, mówiła jedna.

— A jakże nie, moja Jakubowa, to doktor przecie. Oj doktory! doktory!... mają oni czworo moich dzieci na sumieniu. Łońskiego roku Kachna!... Doktor powiedział, że to ja ją zabiłam, bo on zapisał jakąś tam *mixture*, a ja dałam wódki z miodem i odczyniłam urok. Oni zawsze na nas biedaków zwalą, a żebym ja to wcześniej zrobiła, o nie byłoby tego nieszczęścia!

— Ale ładny chłopiec, ten nowy doktor, zauważyła Jakubowa.

— Il... wam to zawsze głupstwa w głowie, odparła oburzona Marcinowa. Albo to swojego nie macie?... No, jużci ładny, co prawda to nie grzech. I kumoszki powędrowały jakoś w kierunku Abama.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Solura, w grudniu 1866 r.

Dziwny to kraj ta Szwajcarya, dziwny pod każdym względem. Z głębokich dolin i gór wyniosłych złożony, mieści w sobie klimaty i płody wszystkich prawie krajów Europy, przedstawia w miniaturze obraz krajów pod rozmaitemi szerokościami położonych. Jeżeliby niezawodną było prawdą, czego dzisiejsza historia filozofii naucza, a co Buckle tak świetnie w znanęj *Historii cywilizacji* rozwinął, że klimat, położenie geograficzne, urodzajność ziemi, płody jej, bogactwo kopalne, zgoda cała przyroda kraju przeważny wpływ wywierają na charakter i przymioty mieszkańców, na układ i rozwój utworzonego przez nich społeczeństwa; — to Szwajcarya powinna nam dawać kaleidoskopowy obraz charakterów i przymiotów narodowości zamieszkujących Europę, rozlicznych przejawów politycznych i społecznych całej tej części świata, a zarazem nienawiści, kłótni i zatargów, zakrwawiających niejednokrotnie najżyźniejsze jej płaszczyzny.

A przecież Szwajcaryą zamieszkują ludzie trojakięgo pochodzenia, trzema mówiący językami, do trzech głównie należąc wyznań i w zgodnej żyjący wspólności, co tém dziwniejsza, że pomiędzy mieszkańcami każdego kantonu powtarza się ta rozmaitość, że każdy kanton ma swoje właściwe ustawy, któremi się sam rządzi.

Nikt się tu nie uznaje Francuzem, Niemcem, lub Włochem, ale Szwajcarem, a przekonanie to w zabawny nieraz objawia się sposób. I tak np. nie godzi się Szwajcarowi zrobić uwagi, że w jego kantonie

niedobrze po niemiecku mówią i że ciężko ich zrozumieć, choć w samęj rzeczy wykształceni nawet ludzie, jeżeli nie przekraczają wyrazów, to przynajmniej tak dziwnym mówią akcentem, że częstokroć tylko z dźwięków dopatrzyć się można podobieństwa niemieckiego języka. Na zarzut taki Szwajcar z dumą odpowiada:

— Bo my też nie po niemiecku, ale po szwajcarsku mówimy. I tēm zamyka krytyce usta.

I cóż z nimi robić? tēm bardziej, że naprawdę nie trzema tylko mówią językami. Francuzki, niemiecki i włoski są językami spraw publicznych, literatury, środkami porozumienia się ogółu mieszkańców między sobą i z obcymi. W kółku zaś domowem, w szczupłym interesów miejscowych zakresie, każda okolica właściwy ma sobie język. W górzystych mianowicie kantonach każda dolina prawie innym mówi dyalektem. I nic dziwnego: wysokimi, nieprzebytymi poprzdzielane górami, bez blizkich ani częstych między sobą stosunków, nie mogły wspólnego, jednostajnego wyrobić sobie języka. Każda zamknięta, żyła w sobie, aż do ostatnich prawie czasów wielkiego rozwoju dróg i cywilizacji; każda zachowywała i zachowuje teraz jeszcze nawet niezatarte ślady wielkiej wędrówki ludów. Jak wylew wody, kiedy przejdzie po ziemi, osadza w nizinach złomy i okruchy z dalekiej nieraz przyniesione ziemi, tak wędrówka ludów zostawiła piętno swego przejścia w rozpadłych dolinach Szwajcaryi. W górach berneńskiego Jura, a raczej w tamtejszych dolinach, napotkać jeszcze można ślady hiszpańskiego języka. W kantonie Gryzonów znaczna część mieszkańców mówi językiem romańskim, wyraźnie łacińskiego pochodzenia.

Ta różnica dyalektów, na różnicy pochodzenia niezawodnie oparta, do żadnych przecie nie prowadzi zatargów; owszem, powszechne panuje tu przekonanie, że aby mieć uszanowanę własne prawo mówienia między sobą jakim się podoba językiem, należy to prawo i u sąsiadów szanować; że nie należy pod tym względem niczyjęj krępować woli, nikomu ani myśli, ani przekonani, ani sposobu ich wyrażania nie narzucać.

Nie mniejsza względność wzajemna wyrobiła się w Szwajcaryi pomiędzy wyznawcami protestanckiej i katolickiej religii. Wprawdzie mylnie w pewnej liczbie kantonów pojęcia o kościele panującym, narodowym, zamacają jeszcze niektóre głowy; wprawdzie niedokładnie odkreślony rozdział pomiędzy rzeczami kościoła i państwa prowadzi niekiedy do nieporozumień i zatargów; wprawdzie zdarzają się od czasu do czasu pokuszenia pojedynczych ludzi o wyłączną przewagę; ale usposobienie ogółu mieszkańców nie tylko nie sprzyja tym niewczesnym pokuszeniom, lecz nawet umie je ukrocić i najczęściej obracają się one na korzyść postępu.

Najwięcej dotąd powodów do nieporozumień dawało używanie cmentarzy, dlatego właśnie, iż nie potrafiono jeszcze zrozumieć, że wyłączanie do władzy gminnej, a nie do parafialnej powinny należeć. Na tēm polu też oddawna czyniono usiłowania zaprowadzenia wyrozumiałości i zgody, na niēm wyrobiła się rzeczywiste względność wzajemna.

Jeszcze w r. 1812 Wessenberg, sufragan biskupa Konstancji, okólnikiem do duchowieństwa swego wydanym zalecał: aby tam gdzie protestanci nie mają oddzielnego cmentarza, nie odmawiać umarłym ich wyznania miejsca na katolickim cmentarzu; aby w takim razie bić w dzwony protestanckiemu umarłemu; aby duchowny, jeżeli uzna to za stosowne, siedł za orszakiem pogrzebowym, a nawet miał przemowę nad grobem; aby we wszelkich stosunkach z protestantami okazywać prawdziwego ducha miłości chrześcijańskiej i w niczém nigdy nie urażać ich przekonani i uczuć.

Pod takim wpływem postępu cywilizacji wyrobiła się pomału tak przykładowa tolerancja, że od kilku lat mianowicie powszechnie już prawie dwa te wyznania wzajemnie udzielają sobie kościołów do odprawiania nabożeństwa i nie tylko grzebią swych zmarłych na jednym cmentarzu, ale nawet duchowni obu wyznań za jedną trumną katolika lub protestanta w braterskiej prawdziwie zgodzie idą obok siebie.